

Historia świata na przestrzeni dziejów oraz w jej aktualnej odsłonie. Analizujemy wydarzenia, które postrzegamy jako momenty przełomowe.

Szeroki kontekst gospodarczy. Interesuje nas wolność i ludzka godność tak w wymiarze ekonomicznym, jak społecznym oraz politycznym.

Zielona ekologia czy malowana na zielono? Sprawdzamy, czy myślenie o ekologicznych technologiach nie jest w dużej mierze życzeniowe?

Wiadomości z kraju - informacje z zakresu polityki, nauki i techniki oraz kultury, a także aktualne komentarze.

NOWY ŚWIAT 24

KAŻDY RZĄD POZBAWIONY KRYTYKI JEST SKAZANY NA POPEŁNIANIE BŁĘDÓW

11/(46)/01.10.23



Wołodymyr Zełenski robi wszystko, by zrazić tych, którzy wspierają jego kraj.

Kto naprawdę „przygotowuje scenę dla moskiewskiego aktora”?

Wołodymyr Zełenski robi wszystko, by zrazić tych, którzy wspierają jego kraj. Uderza w sojuszników Ukrainy. Jego postawę analizuje magazyn „Washington Examiner”. Na pewno nie jest łatwo kierować krajem, który jest w stanie wojny, a naród walczy o przetrwanie. Wołodymyr Zełenski próbuje sprostać temu wyzwaniu od lutego 2022 r. i na ogół jego wysiłki są oceniane pozytywnie. Niewątpliwie prezydent potrafi zmotywować swój naród do walki. Ukraina dzielnie się broni przed rosyjskim najeźdźcą, osłabiła też rosyjskie siły lądowe i podważyła wiarygodność Władimira Putina.

Wkurzony Zełenski

Zełenski jednak zawodzi w czym innym - ma problem z utrzymaniem siły kluczowych sojuszy swojego kraju. Wydaje się, że często lekceważy najważniejszych sojuszników Ukrainy na najbardziej publicznych forach, co jest co najmniej absurdalne. Po tym, jak nie spodobała mu się decyzja Polski, Słowacji i Węgier o odrzuceniu dyrektywy Unii Europejskiej nakazującej im zezwolenie na import ukraińskiego zboża, jego administracja postanowiła pozwać te kraje do Światowej Organizacji Handlu. Przywódca Ukrainy jednak zupełnie nie wziął pod uwagę

zbliżających się wyborów w Polsce i na Słowacji i co za tym idzie, kluczowego wpływu interesów rolników na wynik wyborów. Nie gryźł się też w język, gdy przemawiając przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ, uderzał w swoich sojuszników. Powiedział: „niepokojące jest to, jak niektórzy w Europie, niektórzy z naszych przyjaciół w Europie, odgrywają solidarność w teatrze politycznym - robiąc thriller z ziarna. Może się wydawać, że odgrywają własną rolę, ale w rzeczywistości pomagają ustawić scenę moskiewskiemu aktorowi”. Można zrozumieć wściekłość Zełenskigo z powodu tego, że graniczące z Ukrainą kraje nie zamierzają wpuścić ukraińskiej pszenicy na swoje rynki krajowe. Tym bardziej że Rosja nałożyła na Ukrainę blokadę eksportu zboża. Zrozumiałe jest również to, że Zełenski krytykuje Węgry Viktora Orbána. Kraj ten jest przecież powiązany z Pekinem i Moskwą i coraz trudniej nazwać go sojusznikiem demokratycznego Zachodu.

Niesprawiedliwy wobec Polski

Ale jak można oskarżać Polskę o bycie agentem Rosji? Przecież to kraj, który doznał wiele cierpienia pod rządami Imperium Rosyjskiego i Związku Radzieckiego. Stwierdzenia,

że Polska „przygotowała scenę dla moskiewskiego aktora” Zełenski najwyraźniej nie przemyslał. W złości oskarża jednego ze swoich najważniejszych sojuszników o bycie agentem wspólnego wroga. Od początku wojny Polska wspomaga jego kraj - przeznaczyła niemalą dla siebie kwotę 4,55 mld dolarów na pomoc dla sąsiedniego kraju. Gdyby na to Stany Zjednoczone przeznaczyły taką samą część swojego PKB na wsparcie Ukrainy, wyniosłoby to prawie 180 mld dolarów. Warszawa poczuła się nie bez przyczyny urażona i skrzywdzona uwagami Zełenskigo. Wezwała najpierw ukraińskiego ambasadora, a następnie zawiesiła transfery broni do Kijowa. Zełenski nie wyciągnął z tego żadnych wniosków - najwyraźniej jego ego jest ważniejsze niż wysiłki wojenne. Głupia strategia czy arogancja? Niestety, przemówienie Zełenskigo w ONZ i atak na Polskę nie są sytuacją wyjątkową. Postawa ukraińskiego prezydenta wpisuje się generalnie w jego tendencję do aroganckiego lekceważenia sojuszników. A przecież to właśnie oni pomagają Ukraińcom przetrwać.

W ostatnich tygodniach Wielka Brytania i Polska po cichu naciskały na Zełenskigo, by ten publicznie bardziej docenił ich pomoc i ogromne dostawy

03 BRUKSELSKY BIUROKRACI POD POZOREM WALKI Z PEDOFILIĄ DOKONUJĄ PRÓBY ZAMACHU NA NASZĄ WOLNOŚĆ

Międzynarodowe gangi od dawna uczyniły z dziecięcej pornografii lukratywny biznes.



11 UKRYTE KOSZTY OZE

Energia odnawialna jest droższa, niż się sądzi. Przejście na ekologię jest więc kosztowniejsze, niż spodziewają się decydenci. Na szczęście, świat wciąż poprawia swoją zdolność do wykorzystywania zasobów naturalnych - pisze „The Economist”.

12 O PARSZYWYCH OWCACH

Upadek znaczenia Polski na przełomie XVII i XVIII wieku wynikał nie tyle z polskiej krnąbrności, co raczej z niedostatków owej krnąbrności.



„Kto naprawdę przygotowuje scenę dla moskiewskiego aktora?” - ciąg dalszy artykułu na stronie 2



dr Janusz Grobicki – Redaktor naczelny

Ukraina przegrywa

Stany Zjednoczone i Unia Europejska są coraz bardziej zmęczone wojną na Ukrainie. Na rosnący sceptycyzm, co do sensowności zwiększania pomocy, wpływa brak powodzenia kilkumiesięcznej, ukraińskiej kontrofensywy. Wydaje się również, że postawa Zełenskiego na forum ONZ oraz gloryfikacja weterana SS Galizien w czasie wizyty w Kanadzie, ostudziła entuzjazm Zachodu wobec Ukrainy. Należy dodać do tego kwestię zboża z ukraińskich pól, które zalewa europejski rynek. Na tym tle wybuchł wewnętrzny konflikt dotyczący wprowadzenia zakazu importu zboża, przez niektóre kraje Wspólnoty.

Stało się to wbrew stanowisku Komisji Europejskiej. Europa koncentruje się teraz na problemie nielegalnej imigracji. Od pewnego czasu budzi on większy niepokój niż groźba eskalacji rosyjskiego imperializmu. Wszystko wskazuje na to, że wojna na Ukrainie

wkracza w fazę zamrożenia, a polityka rozbijania jedności Zachodu zaczyna przynosić efekty pożądane przez Putina. Ukraińcy rzadziej mówią o walce, aż do wypędzenia Rosjan z okupowanych terytoriów. Zamiast tego snują marzenia o odbiciu Krymu. Z perspektywy sytuacji na froncie oraz ewidentnej przewagi strategicznej Rosji, wizja wyzwolenia jedynie Krymu jest dla Ukraińców celem niemalże nieosiągalnym. Korzyści Zachodu płynące z eksploatacji zasobów znajdujących się na Ukrainie, są mniejsze od ponoszonych kosztów.

Warto podkreślić, że w głównej mierze ukraińskie aktywa należą do amerykańskiego kapitału. Tym bardziej że perspektywa zwycięstwa Ukraińców się oddaliła. Jest już faktem, że Kongres USA nie uwzględnił w prowizorium budżetowym wydatków na wsparcie dla Ukrainy. Europa wydaje się coraz bardziej sceptyczna, co do rozszerzenia Unii o Ukrainę. Społeczeństwa zachodnie przejawiają rosnącą dezaprobatę dla zalewu uchodźców wojennych. Wynika to z problemów, zarówno o charakterze ekonomicznym, jak i kulturowym.

Tymczasem, korespondent ukraińskiej agencji informacyjnej UNIAN donosi, że wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej Josep Borrell powiedział dziennikarzom na szczycie Europejskiej Wspólnoty Politycznej w hiszpańskiej Granadzie, że: „Unia Europejska nie może zastąpić pomocy udzielanej Ukrainie przez Stany Zjednoczone Ameryki”. Wszystko wskazuje więc na to, że „zachodnia kropelka” podtrzymująca ukraiński opór powoli wysycha, a Rosja jest coraz bliżej odtrąbienia zwycięstwa. Miejmy jednak nadzieję, że stanie się inaczej.

„Kto naprawdę przygotowuje scenę dla moskiewskiego aktora?” - ciąg dalszy artykułu z okładki

broni. W efekcie kraje te doczekały się jedynie aroganckiej krytyki, że w ogóle śmiały oczekiwać jakiegokolwiek wdzięczności. Biorąc pod uwagę bezpośrednio wsparcie, jakie Ukrainie udziela Wielka Brytania, nie jest to mądra strategia dyplomatyczna ze strony Zełenskiego. Zastanawia, jak prezydent może sobie wyobrazić, że zachęci w ten sposób kraje do pomocy jego walczącemu narodowi?

Co więcej, Zełenski nie reaguje na uzasadnione obawy Zachodu pytającego, dokąd tak naprawdę trafia międzynarodowa pomoc. Jeśli weźmie się pod uwagę strategię antykorupcyjną prezydenta, to widać, że skupia się on głównie na gambitach public relations, a nie demontażu ukraińskiej kultury korupcji. Rezultat będzie taki, że w końcu pojawią się poważne skandale korupcyjne związane ze sprzeniewierzoną pomocą zachodnią.

Winston Churchill - mądrzejszy strateg. Tu można porównać sojuszniczą dyplomację Zełenskiego z dyplomacją Winstona Churchilla. Brytyjczyk także jako przywódca wojenny stanął w obliczu groźby unicestwienia swojego narodu.

Warto wspomnieć, że Churchill miał kilka poważnych nieporozumień ze swoim głównym sojusznikiem, Stanami Zjednoczonymi. Dotyczyły one oczekiwań prezydenta Franklina

Roosevelta, by nie Churchill, a Stany Zjednoczone, za pośrednictwem generała Dwighta Eisenhowera, były najwyższym planistą operacyjnym aliantów. Tymczasem brytyjski przywódca chciał zniszczyć nazistowskie Niemcy poprzez strategiczne bombardowania i operacje lądowe w południowej Europie, a nie na przykład inwazję D-Day na Francję. Dla premiera Zjednoczonego Królestwa trudne do przyjęcia było też to, że Roosevelt odrzucił wysiłki zmierzające do uratowania fundamentów Imperium Brytyjskiego. Miał jednak na tyle rozsądku, by zdać sobie sprawę, że musi utrzymać Amerykę po stronie Wielkiej Brytanii, by móc zwyciężyć. Prywatnie wyrażał jasno swoje zdanie na temat poczynań Roosevelta, jednak w publicznych wystąpieniach zawsze wiedział, że jego najsilniejszą bronią jest gra na zgodę i pokrewieństwo. Wszyscy zdają sobie sprawę z tego, jak ważne jest, by Ukraina wygrała wojnę z Rosją. Słuszność bezwzględnie leży po stronie napadniętego kraju. Jednak arogancka postawa Zełenskiego nie sprzyja utrzymaniu kluczowych sojuszników. Najwyższy czas, by prezydent zdał sobie z tego sprawę.

Bo inaczej nikt inny, tylko on sam „przygotuje scenę dla moskiewskiego aktora”.

Na podstawie:

Washingtonexaminer.com

Albańskie gangi przemytnicze w Anglii



Redaktor brytyjskiego „Daily Express” zbudował fałszywą tożsamość, by wnikać w struktury albańskich przemytników. Ich śmiałe działania okazały się zakrojone na szeroką skalę.

Dziennikarz śledczy Zak Garner-Purkis z brytyjskiego dziennika „Daily Express” postanowił zająć się sprawą albańskich gangów przemytniczych działających w Wielkiej Brytanii. Przemyt ludzi okazał się nie tylko doskonale prosperujący, ale też łatwo dostępny. Garner-Purkis twierdzi, że wystarczyło wpisać w internetową wyszukiwarke albańskie odpowiedniki słów „ponton”, „podróż” i „Anglia”, by otrzymać listę osób oferujących przemyt ludzi do Wielkiej Brytanii na pokładach niewielkich łodzi. Pokazał w ten sposób, że społeczne wyobrażenia na temat tego procederu odstają od rzeczywistości. „Lubimy myśleć, że przemytnicy działają na obrzeżach społeczeństwa lub w ciemnych zakamarkach Internetu” - napisał Garner-Purkis. „Jednak niewygodna prawda jest taka, że nawiązanie kontaktu z siatką przestępczą, której działalność polega na śmiertelnie niebezpiecznych podróżach przez kanał La Manche, jest tak proste, jak znalezienie miejsca do

jedzenia” - dodał. Śledztwo zajęło tylko kilka godzin, po których dziennikarz miał już kilka umówionych rozmów telefonicznych, mających dotyczyć szczegółów pokonania kanału La Manche. Znał koszty, lokalizacje czy terminy. Zdarzało się, że - ze względu na barierę językową - przemytnicy podczas rozmów nabierali podejrzeń. W takich momentach jego „kontrahenci” jasno dawali mu odczuć, że są ludźmi niebezpiecznymi, z którymi nie należy pogrywać. Zaangażowani przez dziennikarza tłumacze, którzy posługiwali się językiem albańskim w rozmowach telefonicznych z przemytnikami, byli bardzo roztrzęsieni. „Chociaż filmowaliśmy tylko ręce jednego z nich, upewnił się, że zjął z nich całą biżuterię” - wyjaśnił. Wstrząsającym wynikiem śledztwa nie było jednak wykazanie metod działania tych zorganizowanych grup, lecz ich wyraźna obecność w Wielkiej Brytanii. Rozmówcy dzwonili z brytyjskich numerów i namawiali do spotkań z ich agentami na terenie Anglii. Oznacza to, że nie tylko łatwo się z nimi skontaktować przez Internet. Są także aktywni w obrębie brytyjskich granic.

Autor:

Redakcja

Redakcja

Wydawca

Niezależny Instytut Wydawniczy
ul. Adama Branickiego 18 / 67,
02-972 Warszawa

www.nowyswiat24.com.pl

Redaktor naczelny

dr Janusz Grobicki

Redakcja

Maciej Małek
Dorota Zielińska
Adrian Dąbek
Kamil Goral



Brukselscy biurokraci pod pozorem walki z pedofilią dokonują próby zamachu na naszą wolność

MIĘDZYNARODOWE GANGI OD DAWNA UCZYNIŁY Z DZIECIĘCEJ PORNOGRAFII LUKRATYWNY BIZNES. MAJĘTNI PEDOFILE NIE SZCZĘDZĄ SIŁ I ŚRODKÓW, BY NAWET W SFERZE PRAWODAWSTWA RELATYWIZOWAĆ KWESTIE, W POWSZECHNEJ OPINII I OD ZAWSZE BUDZĄCE STANOWCZY SPRZECIW.

W warunkach społeczeństwa informatycznego rozpowszechnianie zakazanych treści jest tym łatwiejsze, że kanały cyfrowej komunikacji zapewniają anonimowość ich dystrybutorom, a fałszywe tożsamości, pozwalają poza wiedzą i kontrolą rodzicielską, docierać sprawcom przestępstw o podłożu seksualnym do potencjalnych ofiar.

Zwłaszcza w sytuacji, gdy brak możliwości weryfikacji rozpowszechnianych w Internecie treści stał się realnym zagrożeniem, próby uregulowania tej kwestii z poziomu UE wydawałyby się (co do zasady) uprawnione. Pierwsze skojarzenie przypomina, co prawda skojarzenie z pilnującym kurnika lisem, a to za sprawą doniesień o tym, że Bruksela stanowi jeden z ośrodków, gdzie treści pornograficzne są rozpowszechniane, a międzynarodowe gangi pedofilów umościły sobie wygodne gniazdko, nawet wśród eurodeputowanych. Jednak sprawa jest zbyt poważna, by traktować ją jako incydent.

Jak donosi brytyjski Guardian w ramach projektu pod nazwą „Bądź bezpieczna w sieci”, finansowanego od roku 2014 w ramach programu DAPHNE Komisji Europejskiej przez ośrodki zajmujące się Gender Studies (czy koincydencja jest przypadkowa?) - przygotowano przewodnik dla nauczycieli, zawierający scenariusze lekcji traktujących o pułapkach, jakie stwarza sieć. Znajdziemy tam praktyczne porady na temat reagowania na przypadki cyberprzemocy, przydatne w takich sytuacjach telefony i adresy stron internetowych, wraz z tytułami specjalistycznych poradników.

Wydawałoby się więc, że intencje, proponowane formy i metody reakcji na zagrożenia są adekwatne do

realiów, z którymi mamy do czynienia w cyfrowym świecie. Niestety, autorzy projektu opierają swoje rozumowanie na fałszywych przesłankach. Przemoc w sieci to zjawisko powszechne, tyle że kontrolna aplikacja rodzicielska daje osobom najbliższym - Mamie i Tacie - bezpośredni wgląd w czasie rzeczywistym, w aktywności naszych dzieci.

Czy w tej sytuacji kontrola komunikatorów, co więcej z udziałem AI jest na pewno adekwatna do przyjętych założeń, poziomu zagrożenia i wpływu na kształtowanie zachowań? Kto oraz wedle jakich kryteriów ustali, co jest przejawem bliskich - intymnych relacji w Rodzinie (np. wspólna kąpiel przez Rodziców malca lub dziewczynki) i pozostaje w naszych cyfrowych zasobach. Tak kiedyś działo się to z albumami zdjęć lub taśmami zawierającymi, niekiedy intymne w charakterze nagrania, które po latach przeglądamy z uśmiechem rozrzewnienia. Czy oznacza to nieuprawnione rozpowszechnianie treści pedofilskich?!

Gdzie są granice naszej prywatności oraz indywidualnej wolności, od czasu ataku 11 września i Patriot Act? Wtedy właśnie wdrożono restrykcyjne procedury bezpieczeństwa w transporcie lotniczym, publicznym, a nawet w handlu międzynarodowym i turystyce. Wprowadzono surowe ograniczenia w imię dobra wspólnego, którym jest zbiorowe bezpieczeństwo. Informacja to dzisiaj w dobie wojny hybrydowej broń równie groźna, jak utrata reputacji w wyniku kreowania zdarzeń w cyfrowej rzeczywistości, które faktycznie nigdy nie miały miejsca.

Jak pisze Jan Kreft w książce „Władza algorytmów”, współcześni bramini z Doliny Krzemowej wzorem kapłanów w starożytnym Egipcie wykorzystują swoją wiedzę tajemną do „zarządzania

naszymi zbiorowymi emocjami”. Na to nie ma, bo być nie może naszej zgody. Cywilizacja ukształtowała na przestrzeni stuleci normy społeczne, wedle których to Rodzice chronią dzieci, odpowiadają za ich rozwój, realizację aspiracji i bezpieczeństwo. Regulują to normy społeczne, ustawy, a w Polsce Kodeks Rodzinny i Opiekuńczy, zaś dodatkową pieczę sprawują instytucje i organizacje społeczne. Dzięki technologii cyfrowe kanały komunikacji stworzyły przestrzenie, gwarantujące nam chronioną prawem sferę prywatności. Należą do niej kanały komunikacji w rodzaju WhatsApp czy Messenger. Teraz za sprawą brukselskich biurokratów ma to ulec zmianie. Jeszcze w maju 2022 roku, pod pozorem walki z materiałami przedstawiającymi w Internecie molestowanie dzieci, Komisja Europejska przedstawiła plan dostępu do prywatnych czatów. Już wówczas specjaliści od ochrony danych osobowych zgłosili „poważne zastrzeżenia”. Nie kwestionując, co do zasady, intencji i celów, zarówno Europejski Inspektor Danych Osobowych (EIOD) i Europejska Rada Ochrony Danych (EDPB) zgodnie stwierdzili, że projekt „nie ma pokrycia w Karcie Praw Podstawowych UE”. „Ogólny nadzór nad komunikacją tekstową i dźwiękową poszczególnych obywateli nie jest objęty Kartą Praw Podstawowych UE”.

Prawo dostępu do prywatnych czatów w ramach walki z materiałami prezentującymi molestowanie dzieci oprotestowało także kilku ministrów niemieckiego rządu. Ich zdaniem zapisy projektu w obecnej formie, podobnie jak sam wniosek, mogą stanowić większe zagrożenie dla osób fizycznych, a tym samym dla społeczeństwa niż dla samych przestępców.

Organizacje praw obywatelskich wystosowały projekty rezolucji protestujących przeciw (jak to ujęto) „masowej inwigilacji i próbom skanowania całej komunikacji w sieci”, co zakłada projekt prawa mającego w zamyśle jego autorów, ograniczyć rozpowszechnianie w Internecie obrazów stanowiących nadużycie, nie tylko dobrego obyczaju czy poczucia moralności, ale zdefiniowanych przez prawo, jako działanie przestępcze. W czerwcu 2023 niemiecka minister spraw wewnętrznych Nancy Faeser w ramach wewnętrznych konsultacji ministrów krajów członkowskich zapowiedziała, że będzie oficjalnie interweniować przeciwko próbom ingerencji w szyfrowaną komunikację. Ważne jest (jak stwierdziła polityk SPD) - „aby nie stawiać każdego obywatela pod ogólnym podejrzeniem”. Propozycja Komisji stanowi próbę wprowadzenia tylnymi drzwiami regulacji naruszającej traktatowe ramy i prawa podstawowe. Szczęśliwie, w tym przypadku procedury narzucają pewne ograniczenia. Poprzedzi ją debata w Parlamencie Europejskim i dyskusja wewnątrz państw członkowskich, gdzie prawa i wolności obywatelskie stanowią domenę konstytucyjną. W tym przypadku tylko jednolite i wspólne stanowisko stron stanowi warunek konieczny wprowadzenia nowego prawa. To kolejna kwestia, która jasno dowodzi, że próby odstąpienia od zasady jedności godzą nie tylko w suwerenność państw członkowskich, ale podważają podstawy, na jakich ufundowano Unię Europejską - rozumianą jako wspólnotę wartości, których symbol stanowią gwiazdy z korony NMP.

Autor:
Janusz Grobicki

DLACZEGO CHINY SĄ TAK AGRESYWNE?

**CHINY WYKAZUJĄ AGRESYWNE DZIAŁANIA NA ARENIE
MIĘDZYNARODOWEJ. „NATIONAL INTEREST” ZASTANAWIA SIĘ,
CZY WYNIKA TO Z POTĘGI TEGO PAŃSTWA, CZY TEŻ JEGO
SPECYFICZNYCH CECH WEWNĘTRZNYCH.**

Obserwatorzy i komentatorzy polityczni są w zasadzie zgodni: od mniej więcej 2010 r. Chiny prowadzą coraz bardziej agresywną politykę zagraniczną. Nasuwa się jednak pytanie o to, jaka jest relacja między tą zewnętrzną postawą a wewnętrzną polityką Pekinu. Czy mnogość konfliktów, w które wikłają się Chiny, jest jedynie efektem skali i wypływa z wielkości tego światowego mocarstwa? Czy może Chińska Republika Ludowa (ChRL) charakteryzuje się unikalnymi cechami wynikającymi z jej szczególnej historii i rządów Komunistycznej Partii Chin (KPCh)?

Zachodni politycy często obarczają winą za agresywne zachowania Pekinu panującą partię. Tak robił między innymi Mike Pompeo, sekretarz stanu za czasów prezydentury Donalda Trumpa, tak samo robi obecny prezydent USA Joe Biden. Prawda jednak jest taka, że wiele politycznych zachowań Chin jest typowych dla mocarstw. Jest w tym pewien unikalny chiński rys, ale ogólna zasada działania pozostaje typowa dla wielkich i silnych państw: wywieranie presji na mniejsze i słabsze kraje, aby przyjęły one chińską agendę, uważając przy tym, że zmienia ona świat na lepsze. W ten sam sposób działały wcześniej Wielka Brytania, Rosja, Stany Zjednoczone czy Japonia.

Są jednak pewne elementy wewnętrzne, które charakteryzują Chiny, a jednocześnie mogą tłumaczyć ich konfliktowość.

Pierwszym takim elementem jest przesadna koncentracja władzy. Gdy pełnia władzy spoczywa w jednych rękach, błędne decyzje mogą przynieść oplakane skutki. Widzieliśmy to na przykład w latach 1958-1960, kiedy Mao Zedong postanowił wykonać Wielki Skok Naprzód, czyli przyspieszyć industrializację Chin. W tym celu zachęcał chłopów do produkcji stali. Chłopi nie mieli jednak odpowiedniego przygotowania, wiedzy czy technologii. W konsekwencji rynek zalała kiepskiej jakości surówka, zamiast potrzebnej stali. Co gorsza, ucierpiała na tym produkcja rolna, co doprowadziło do masowego głodu, który według najłagodniejszych rachunków pochłonął 20 mln ofiar. Nieograniczona władza Mao doprowadziła do tej sytuacji, ale jednocześnie ją zaogniła, ponieważ podwładni przewodniczącego Mao niejednokrotnie obawiali się przekazywać niekorzystne dane, które wskazywałyby na niepowodzenie przyjętego planu. Nic dziwnego, bo kiedy generał Peng Dehuai odważył się wyrazić sprzeciw, został ukarany. Te doświadczenia sprawiły, że późniejsi przywódcy Chin, zanim ogłosili ważne decyzje, konsultowali je z członkami Stałego Komitetu Biura Politycznego. Kolejnych sekretarzy generalnych nie

otaczano też takim kultem jak Mao. Xi Jinping przywrócił jednak dawny model władzy. Model, który już raz zawiódł. Spadek międzynarodowej reputacji Chin za kadencji Xi nie powinien więc dziwić. W jego efekcie wiele światowych gospodarek dystansuje się, wobec tego państwa. Autokratyczne decyzje podejmowane są w pojedynkę, w oparciu na jednym zdaniu, jednym punkcie widzenia. Chociaż KPCh głosi, że jej przywódca jest najwspanialszym i najmądrzejszym człowiekiem na Ziemi, rozsądnie jest zakładać, że większa liczba decydentów pozwoliłaby na podejmowanie lepszych decyzji. Druga sprawa to prowadzenie przez ChRL polityki zagranicznej pod publiczność. Polityka zagraniczna z natury nacechowana jest pewną sprzecznością, przez którą jej skuteczność i popularność nie zawsze idą w parze. Przez to wspieranie państwowych interesów nie zawsze jawi się obywatelom jako obrona ich praw i godności i vice versa. Opinia publiczna oczekuje niekiedy od rządu demonstracji siły i przyjęcia agresywnej postawy tam, gdzie łagodzenie konfliktów mogłoby dać lepszy efekt.

W Chinach ta tendencja jest dość wyraźna i współbrzmi z kulturowym przez partię etosem żalu wobec obcokrajowców, ich rzekomych krzywdzicieli. Wypływa stąd niezdrowa, często wroga postawa reżimu Xi w kontaktach międzynarodowych. Takie zachowania spotykają się jednak z krajową sympatią. Chiński nacjonalizm wyznacza więc kurs działań sporej części dyplomacji. Chińczycy niezwykle łatwo się obrażają, we wszystkim doszukują zniewag i niechętnie idą na kompromisy. To ostatnie w szczególności dotyczy kwestii terytorialnych, tematu pilnie śledzonego przez krajowe media. Po trzecie, stosunki międzynarodowe Chin są trudne z powodu wiecznych rządów jednej partii. W innych systemach, gdzie mamy do czynienia z dwoma partiami lub więcej, panuje między nimi konkurencja, która sprawia, że próbują one zaproponować jak najlepsze rozwiązania, także w obrębie polityki zagranicznej i rozliczają swoich przeciwników ze wszystkich złych decyzji. Brak opozycji w Chinach uniemożliwia jednak prowadzenie konstruktywnej krytyki. Nie ma też okresowej oceny rządów w formie wyborów czy wymiany partii w razie braku sukcesów. Wiecznie panująca partia uważa się za doskonale cnotliwą, zawsze stojącą po stronie pokoju i sprawiedliwości, przez co każda z prowadzonych przez nią polityk zagranicznych musi być bezbłędna.

Postawa taka sprawia jednak, że



partia niechętnie podejmuje ryzyko, nie potrafi negocjować kompromisów i brakuje jej kreatywności przy rozwiązywaniu problemów mogących pojawiać się w polityce zagranicznej, co widzimy doskonale w relacjach z Tajwanem. KPCh okopała się na stanowisku, że Tajwan powinien albo ogłosić się oficjalnie prowincją chińską, albo szykować do wojny. To stanowisko zbudowane jest na XIX-wiecznym podejściu do suwerenności, które nie uwzględnia XX-wiecznej zasady samostanowienia. Od 1979 r. Chiny uważają, że w ramach zasady „jeden kraj, dwa systemy” Tajwan powinien być częścią ich kraju i akceptacja oraz realizacja tego stanowiska przez Tajwan jest najlepszym rozwiązaniem napięć panujących w Cieśninie Tajwańskiej. Paradoksalnie dyskurs ten utrzymano nawet po naruszeniu obietnic składanych przez Pekin w związku z Hongkongiem. Po czwarte konfliktowa polityka zagraniczna jest wpisana w historię Chin. Przywódcy tego wiekowego kraju od dawna zachowywali się agresywnie w interakcjach z sąsiadami. Chińskie postrzeganie stosunków międzynarodowych od zawsze było hierarchiczne. W przekonaniu ChRL państwo to przez wiele wieków było najbardziej wpływowe i potężne. Cesarz władał nie tylko swoim krajem, był prawowitym władcą wszystkich, co znajdowało się pod niebem. Spora część Chińczyków uważa, że ościenne królestwa płaciły Chinom specjalną daninę zapewniającą im ochronę. Taka historyczna, a nawet historiozoficzna perspektywa zwiększa napięcie w relacjach Chin z wieloma państwami, zwłaszcza tymi, które leżą najbliżej. Zresztą politycy z krajów Azji Południowo-Wschodniej faktycznie obawiają się powrotu chińskiej dominacji. Dzisiejsza, zaktualizowana taktyka jej zdobycia polega na wykorzystywaniu przewagi gospodarczej do zmuszania innych państw, by uznały chińską suwerenność na dużych obszarach terytorialnych. Jednocześnie Chiny próbują zwalczać wpływy USA w tym

regionie, widząc w nich zewnętrznego wroga. Tym samym inne państwa, które ułożyły się ze Stanami, nawet tak ważne, jak Japonia, nie są przez Chiny postrzegane jako równe. KPCh często odwołuje się do historii Chin, jednak jest to historia mocno przekłamana, w której Chiny zawsze były pokojowym krajem i nigdy nie stosowały agresji. Po złotym wieku nadeszła jednak era nowożytna, a Chinom przypadła rola ofiary (było to bainian guochi, czyli „stulecie narodowego upokorzenia”), ciężko doświadczonej przez europejski kolonializm i inwazję Japonii. Jako niedawne ofiary Chińczycy nie potrafią zrozumieć i sympatyzować z sąsiadami, którzy dziś czują się zagrożeni. Skoro historia ewidentnie pokazuje, że nie są agresywni, czego tu się w ogóle bać? Powszechnie uważa się, że partyjne działania militarne mają charakter czysto defensywny, a w perspektywie ostatnich stu lat – bardzo zresztą uzasadniony. Jeśli Chiny były tak bardzo gnębione przez bliższy i dalszy Zachód, to naturalne, że próbują się zabezpieczyć przed powtórzeniem tych sytuacji. Jeśli zaś ktoś uważa inaczej, musi mieć – zdaniem Chińczyków – jakieś ukryte i zapewne wrogie motywacje. Po piąte – i to już ostatni powód, dla którego trudno porozumieć się z Chinami – KPCh uważa, że liberalizm polityczny jest groźny. Zagroźa przede wszystkim monopolowi partyjnej władzy, którego utrzymanie jest priorytetem chińskich polityków, bez względu na to, czy zajmują się sprawami wewnętrznymi, czy zewnętrznymi. Niechęć wobec liberalizmu jest też połączona z niechęcią wobec USA, pełniącego funkcję ikony zachodnich systemów liberalnych. Zdaniem Chińczyków demokracja jest tylko narzędziem, które USA próbuje wykorzystać do tego, by obalić KPCh, co pozwoliłoby osłabić Chiny i zaprowadzić dominację Stanów w Azji. Nic zatem dziwnego, że zachodnia demokracja jest przez Chiny dyskredytowana, by nie powiedzieć

ŚWIAT

„Dlaczego Chiny są tak agresywne” -
ciąg dalszy artykułu ze strony 4

„demonizowana”. Wierzą oni, że to tylko pretekst, by ingerować w sprawy wewnętrzne innych państw. Nie chodzi tu tylko o próbę demokratyzacji Chin, której KPCh tak „dzielnie” stawia opór, ale o szerzenie demokracji liberalnej globalnie, co prowadzi do izolacji ChRL, jej osłabienia na międzynarodowej arenie i wzrostu wewnętrznej presji społecznej na dostosowanie się, dopasowanie do światowego porządku. Chińczycy uwielbiają nawiązywać współpracę zagraniczną na drodze korumpowania lokalnych elit politycznych, a strategia ta byłaby znacznie trudniejsza, gdyby kraje partnerskie zaprowadziły u siebie liberalną demokrację. Są więc przeciwni szerzeniu idei wolnościowych i demokratycznych, w tym transparentności działań rządowych, odpowiedzialności władzy czy swobodom obywatelskim. Tych pięć czynników kształtujących wewnętrzną dynamikę polityczną Chin, wpływa jednocześnie na prowadzone przez nie stosunki zagraniczne. Nowe Chiny rządzone przez Xi i partię są pełne arogancji i gniewu. Są też rosnącym w siłę mocarstwem, które powstaje na terenie kontrolowanym wcześniej przez inne mocarstwo. Prowadziłoby to do napięć w przypadku każdego innego państwa. Jednak wewnętrzny charakter Chin sprawia, że próby rozwiązania zaistniałej sytuacji są i najprawdopodobniej pozostaną wyjątkowo trudne.

W 2002 r. ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych George W. Bush wygłosił orędzie, w którym użył sformułowania „oś zła”. Dotyczyło ono wrogich Ameryce państw, które finansowały ugrupowania terrorystyczne i chciały dysponować bronią masowego rażenia - Iraku, Iranu oraz Korei Północnej. Sformułowanie to zostało wymyślone nie przez samego Busha, tylko autora tekstów jego przemówień, Davida Fruma, który później w swojej książce „The Right Man: The Surprise Presidency of George W. Bush” przyznał, że sam inspirował się przemówieniem innego z amerykańskich prezydentów, Franklina D. Roosevelta, wygłoszonym po ataku Japonii na Pearl Harbor (dziś to słynne przemówienie znane jest jako „Day of Infamy”).

Oryginalnie chodziło więc o trzech przeciwników aliantów z czasów II wojny światowej: Niemcy, Włochy i Japonię. Frum uważa jednak, że sojusz tych państw był nie do utrzymania - gdyby nie odniosły porażki, gdyby to Oś wygrała wojnę, państwa te zaczęłyby walczyć między sobą. W momencie zawiązania sojuszu łączyły ich jednak zbieżne cele. Podobnie było z Iranem, Irakiem oraz grupami terrorystycznymi Al-Kaidy i Hezbollahu (w koncepcji Fruma to grupy terrorystyczne stanowią trzeci element, dopiero później zamieniono je na Koreę Północną) - nie zgadzały się między sobą we wszystkim, dochodziło między nimi do konfliktów, ale mieli wspólnego wroga: Stany Zjednoczone.

Obecnie mamy dość podobną sytuację. Ponownie „zgnili Zachód” ze Stanami na czele musi mierzyć się z szeregiem przeciwników. Różnica polega jednak na tym, że tym razem państw tych nie łączy jedynie

wrogość wobec Zachodu - tym razem współpracują nad zabezpieczeniem swoich strategicznych interesów, aby wyprzeć zachodni porządek. Przykładem takiej współpracy może być niedawne spotkanie prezydenta Rosji Władimira Putina z przywódcą Korei Północnej Kim Dzong Unem. Kim ogłosił na nim pełne poparcie dla Putina i prowadzonej przez Rosję wojny z Ukrainą, co w praktyce oznacza, że Korea najprawdopodobniej będzie dostarczała Rosji amunicję umożliwiającą kontynuowanie działań zbrojnych.

Przez ostatnie lata główne wsparcie dla Rosji okazywały Chiny, współpraca z Koreą Północną jest pewną nowością. **„Jednym z powodów, dla których spotkanie Putin-Kim jest tak fascynujące i niepokojące, jest to, że możemy nazwać je powrotem do zimnej wojny, ponieważ Związek Radziecki był głównym patronem i twórcą reżimu Kima”** - przypomniał William Inboden, dyrektor Hamilton Center for Classical and Civic Education na Uniwersytecie Florydy, a wcześniej starszy dyrektor ds. planowania strategicznego w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. **„Pod wieloma względami jest to zgodne z geopolityczną wizją Putina, aby odtworzyć granice i wpływy imperium Związku Radzieckiego”** - dodał.

Wojna na Ukrainie, która stała się przedmiotem powszechnej krytyki na Zachodzie, zbliżyła do siebie jego krytyków - nie tylko Rosję i Koreę Północną, ale także Chiny i Iran.

Profesor Hal Brands z Johns Hopkins School of Advanced International Studies zauważył, że atak na Ukrainę zjednoczył amerykańskich przeciwników w celu układania

planów zmierzających do ograniczenia globalnych wpływów USA.

„Wojna w Ukrainie pod pewnymi względami promowała większą konwergencję między Chinami a Rosją - znacznie silniejsze partnerstwo obronne między Rosją a Iranem, partnerstwo między Koreą Północną a Rosją. To oczywiste, czego Rosja potrzebuje, ponieważ w wielu przypadkach z dostawcy sprzętu wojskowego stała się odbiorcą sprzętu wojskowego” - powiedział Brands.

Zdaniem Brandsa taka współpraca przeciwników Zachodu jest zjawiskiem naturalnym, będącym konsekwencją ciągłego rozdrabniania systemu międzynarodowego. Przykładem działania tego czterostronnego sojuszu jest też dzielenie się Korei Północnej technologią nuklearną z Iranem. Także zbliżenie się Iranu i Rosji może wiele zmienić w obecnej geopolityce. To Iran dostarczył Rosji drony, które zostały wykorzystane w Ukrainie, a teraz coraz głośniej mówi się o zamiarze przekazania pocisków balistycznych, które też zostaną wykorzystane w tej wojnie. Ważne jest jednak to, co Rosja zaoferuje Iranowi w zamian za tę pomoc.

„Jeśli »quo« za irańskie wsparcie dla Rosji polegałoby na tym, że Rosja dostarczy Iranowi bardziej zaawansowaną broń i technologię zbrojeniową, mogłoby to mieć wpływ na globalną równowagę sił” - zauważył Brands.

Amerykańscy politycy niewiele zrobili, gdy te nowe sojusze się zawiązywały. Inboden przyznał, że niektórzy członkowie administracji Bidena niepokoją się solidarnymi ruchami ich

wrogów, to w całościowym ujęciu Biały Dom wydaje się nie przejmować zbyt mocno współpracą po stronie swoich oponentów.

„Uspokajając Iran - 6 mld dolarów na dyplomację z zakładnikami, desperacja, by uzyskać jakiś powrót do nowej fazy JCPOA - myślę, że całkowicie zlekceważyli, zarówno powiązania Iranu z Koreą Północną, jak i wsparcie Iranu dla Rosji” - powiedział Inboden.

Zbliżenie Stanów z Iranem zaszkodziło Ukrainie, ale Iran zwiększył swoją militarną potęgę dzięki współpracy z Koreą Północną i Rosją, a to może zniechęcać inne, bardziej przyjazne kraje do współpracy z USA. „Jeśli chcemy, aby Saudyjczycy byli bardziej pomocni w sprawie Rosji, Ukrainy i Chin, musimy być twardsi w sprawie Iranu” - twierdzi Inboden. „Jeśli Saudyjczycy zobaczą, że przyjmujemy postawę ustępstwa wobec Iranu, nie będą chcieli być dla nas tak pomocni w innych ważnych kwestiach” - dodaje. Współpraca Rosji, Chin, Iranu i Korei Północnej może szkodzić amerykańskiemu interesom, ale może też mieć spory wpływ na światowy porządek. A to scenariusz bardzo niebezpieczny i powinien zostać potraktowany z dużo większą powagą przez amerykańską administrację.

Na podstawie:
National Review

Rosja, Chiny, Iran i Korea Północna – nowa oś zła

JEŚLI MIĘDZYNARODOWY PORZĄDEK KIEROWANY JEST PRZEZ STANY ZJEDNOCZONE, TO CHINY, ROSJA, KOREA PÓŁNOCNA ORAZ IRAN BUDUJĄ SOJUSZ, KTÓRY MA NA CELU PODWAŻYĆ TEN STAN – TWIERDZI „NATIONAL REVIEW”.



Co jest nie tak z papieżem Franciszkiem?

OD CZASU PIERWSZEGO SOBÓRU WATYKAŃSKIEGO W KOŚCIELE KATOLICKIM ROZWIJAŁ SIĘ KULT PAPIESKI, KTÓREGO APOGEUM MIAŁO MIEJSCE PODCZAS KADENCJI JANA PAWŁA II. TERAZ, POD RZĄDAMI FRANCISZKA, KULT TEN UPADA – TWIERDZI „NATIONAL REVIEW”.

Na koniec lata papież Franciszek wygłosił pochwałę imperiów mongolskich i rosyjskich za ich tolerancyjne i pełne humanitarności postawy. Zaraz potem skrytykował amerykańskich katolików, zarzucając im ciasnotę myślenia i zacofanie. Powróciwszy do Rzymu, papież Franciszek zajął się rehabilitacją kolejnego kościelnego przestępcy seksualnego, na którym ciążyą poważne dowody. Tym razem chodzi o jezuitę, ojca Rupnika, który molestował regularnie grupę zakonnice. Watykan przeprowadził w tej sprawie własne dochodzenie. W raporcie będącym jego wynikiem czytamy między innymi pochwałę współpracownika Rupnika za to, że „zdecydowali się zachować milczenie” oraz „strzec swoich serc i nie rościć sobie prawa do nienaganności, z którą mogliby stać się sędziowie innych”. A wszystko to w przeddzień zapowiadanego szumnie „Synodu na temat synodalności”, czyli konferencji biskupów, która będzie debatować nad... autorytetem konferencji biskupów. Chodzi w tym wszystkim o to, aby za sprawą lichych ankiet przeprowadzonych na niewielkiej liczbie świeckich wiernych, dać papieżowi osłonę i umożliwić mu pewne zmiany w moralnych i dogmatycznych naukach Kościoła. To dość dziwny eksperyment, który ma odwrócić uwagę od roli, jaką papież pełni w zmianie wiary. Grupa biskupów napisze dokument, z którego będzie wynikać, że Kościół już sam inaczej rozumie siebie samego. To wszystko jest wielką porażką. Te ciągle utyskiwania Franciszka na „zacofanie” i „ideologię” brzmią jak próba pominięcia faktu, że wiara katolicka cechuje się jakąś intelektualną substancją, określoną i wyjaśnioną historycznie. Doktryna katolicka rozwijała się na przestrzeni wieków, np. wczesne stwierdzenia biblijne i liturgiczne zawierają stanowisko dotyczące boskości Jezusa Chrystusa, natury Ducha Świętego i Boga Ojca, jednak z czasem zyskały nowe terminy, jak Trójca Święta. Ale, jak pisał John Henry Newman, można rozróżnić prawdziwy i fałszywy rozwój doktryny: „Prawdziwy rozwój to taki, który jest zachowawczy w stosunku do swojego pierwowzoru, a zepsucie to takie, które zmierza do jego zniszczenia”. Mamy więc do czynienia z prawem niesprzecznosci.

Nie jest to jednak sposób działania papieża Franciszka. Za sprawą jego „rozwinienia” doktryny kary śmierci – wcześniej moralnie dopuszczalnej przez Kościół – nagle stała się grzechem. Dlaczego do tego doszło? Zdaniem Franciszka osiągnęliśmy nowe rozumienie ludzkiej godności. I to właśnie ono w połączeniu ze społeczną obserwacją i opinią, że kara więzienia jest wystarczająca, by chronić społeczeństwa przed przestępcami, doprowadziły do „uniemoralnienia” kary śmierci.

Papieskie uzasadnienie w żaden sposób nie odnosiło się do sporego dorobku refleksji na temat kary śmierci, z jakim mieliśmy do czynienia w historii Kościoła. Zastanowienie



budzą także twierdzenia dotyczące skuteczności kary więzienia. W końcu niektórzy przestępcy są w stanie kierować światem przestępczym z krata. Przede wszystkim należy jednak zauważyć, że to nowe stanowisko nie ma żadnego religijnego uzasadnienia w Piśmie Świętym, soborach ekumenicznych, doktorach Kościoła czy Magisterium.

Kościół zawsze postrzegał siebie jako strażnika i interpretatora Boskiego Objawienia, czyli tajemnic, które Bóg ujawnił przed człowiekiem w szczególnym działaniu historii. Te nowe zmiany rozszerzają kompetencje kościoła w sprawie kwestii moralnych, które są rozważane z samodzielnej analizy warunków społecznych, bez Objawienia.

Papież Franciszek ma jednak swoich

fanów, a ci oczekują, że będzie on wykorzystywał władzę papieską, by potępiać tradycjonalistów (liturgicznych, moralnych, społecznych – nieważne). Oprócz tego chcą, aby rewidował nauczanie Kościoła w sprawach społecznych: antykoncepcji, małżeństw jednopłciowych, kapłaństwa kobiet itp. Istnieje watykański urząd nazwany Kongregacją Nauki Wiary. Jego zadaniem była pomoc papieżom w strzeżeniu ortodoksji. Jednakże aktualny szef Kongregacji mówi swobodnie o „doktrynie Ojca Świętego”, jakby jego osobiste poglądy miały być wiążące dla wiernych. Coraz częściej mówi się o Kościele aktualnym, zamiast wiecznego.

„Dzisiejszy Kościół”, przekreślający dorobek i znaczenie „wczorajszego

kościola”, staje się nieistotny, ponieważ za chwilę zastąpi go „jutrzejszy Kościół”, który w takim układzie może być czymkolwiek.

Od czasów apostołskich to do papieża należał obowiązek stania na straży zachowania tradycji, nie zaś – wprowadzania innowacji. Takie wykorzystywanie urzędu, jakie widzimy dzisiaj, jest najzwyczajniej szkodliwe. A to praktycznie cały dorobek Franciszka. Doprowadził on do upadku papieskiego kultu, który rozpoczął się od pierwszego Soboru Watykańskiego, a tak mocno rozwinął wokół Jana Pawła II.

Na podstawie:
National Review

Zachód dostaje w kość od Putina i bin Salmana



Baryłka wydobywanej z Morza Północnego ropy Brent osiągnęła w drugiej połowie września cenę 95 dolarów i dalej drożeje. W Hiszpanii kryzys transportowy w 2022 r. rozpoczął się, gdy osiągnęła ona poziom 100 dolarów. Wiele wskazuje na to, że tyle samo będzie kosztować jeszcze przed końcem tego roku – donosi serwis Hispanidad.

Nikt się nie spodziewał tego rosyjsko-arabskiego sojuszu, zawartego przez światowego króla gazu Władimira Putina i światowego króla ropy

Muhammada bin Salmana. Irańczykom nie podoba się, że ich gazowy sojusznik z OPEC związał się z ich największym wrogiem. To niewiele obchodzi Putina. Interesuje go jedynie fakt, że sojusz może doprowadzić do wzrostu cen gazu na rynkach międzynarodowych. Także bin Salman, nie będąc już przyjacielem Ameryki, teraz może ochronić sam siebie, ponieważ zbudował najpotężniejszą armię na Bliskim Wschodzie.

Putin i bin Salman nie przejmują się więc nikim i stawiają Zachód „pod butem”. W rezultacie cena ropy

Brent, która we wrześniu wynosiła 95 dolarów, wciąż rośnie. Także cena ropy West Texas przekroczyła w drugiej połowie poprzedniego miesiąca 92 dolary.

Jak to się przełoży na europejską rzeczywistość? Wystarczy przypomnieć sobie, że wiosną ubiegłego roku, tuż po inwazji Rosji na Ukrainę, kryzys transportowy w Hiszpanii, z ciężarówkami blokującymi drogi, pojawił się, gdy baryłka kosztowała 100 dolarów. Tyle właśnie, według prezesa Chevronu, ropa naftowa osiągnie jeszcze przed końcem roku.

To cena przerażająca. Jest jeszcze inny problem: popyt rośnie, a produkcja spada. Równocześnie ekolodzy skazują samochody z silnikami diesla, zużywające mniej paliwa i emitujące mniej zanieczyszczeń, na wymarcie. Bank Hiszpanii ostrzega, że wzrost zużycia energii spowoduje w przyszłym roku załamanie hiszpańskiej gospodarki.

Na podstawie:
Hispanidad

ŚWIAT

Fatalny wynik Harvardu w rankingu Fire może być dla niektórych zaskakujący, szczególnie w sytuacji, gdy już w kwietniu na tym uniwersytecie utworzono Radę Wolności Akademickiej składającą się z ponad 50 pracowników akademickich, wśród których są psycholog Steven Pinker i Lawrence H. Summers, były doradca prezydenta Clintona. Celem Rady jest „promowanie wolności dociekań, różnorodności intelektualnej i dyskursu obywatelskiego” na kampusie. Skąd więc tak słaba ocena? Po co Harvardowi wolność słowa? Oliver Rhodes uważa, że wolność słowa na tej uczelni nie jest potrzebna. Zauważa on, że od dziesięcioleci „celem elitarnych amerykańskich uniwersytetów jest służenie jako przystanek dla elity”. Studiują tam głównie po to, by zająć wysoką pozycję społeczną i dobrze zarabiać. „Kiedy to zrozumiesz, zrozumiesz, dlaczego uniwersytet, który wyznaje, że jest mistrzem dociekań, tolerancji i różnorodności, robi dokładnie odwrotnie” - pisze Rhodes. Warto tu opisać specyfikę Harvardu. Otóż jest on uparcie homogeniczny. Jego absolwenci w przewadze identyfikują się jako liberalni (70 proc.), 10 proc. badanych uważa się za konserwatywnych. Poza zaledwie kilkoma pravicowymi prowokatorami skupionymi w Klubie Republikańskim nie ma wśród studiujących większej niezgody w kwestiach politycznych. Nie istnieje więc potrzeba „wolności słowa”, gdy większość ludzi na kampusie podziela podstawowy światopogląd.

Co prawda zróżnicowanie rasowe i płciowe na uczelni uległo poprawie, ale wśród czarnoskórych przeważają głównie bardzo zamożni studenci, a jeśli chodzi o dziewczęta, dopuszczane są te przewyższające w nauce chłopców w szkole średniej. Jest tu też bardzo mała różnorodność klasowa i wydaje się, że trudno w tym przypadku będzie coś zmienić. 25 proc. studentów pochodzi z 10 proc. najbogatszych gospodarstw domowych w Ameryce, tyle samo z 50 proc. najbiedniejszych. Erozja szkolnictwa wyższego „Gdyby wykładowcy Harvardu mieli uprawnienia do zmuszania swoich



Najlepsza na świecie uczelnia nie potrzebuje wolności słowa

W RANKINGU FUNDACJI NA RZECZ INDYWIDUALNYCH PRAW I EKSPRESJI (FIRE) HARVARD OCENIONY ZOSTAŁ JAKO „FATALNY”, JEŚLI CHODZI O STAN WOLNOŚCI SŁOWA. KTO JEST ZA TO ODPOWIEDZIALNY, KTO ZABIŁ TĘ WOLNOŚĆ? – ZASTANAWIA SIĘ NA ŁAMACH „THE SPECTATOR” OLIVER RHODES, BYŁY STUDENT UCZELNI.

studentów do odmiennego myślenia w spornych kwestiach, sytuacja mogłaby wyglądać inaczej. Instytucja ta woli jednak utrzymać wysokie wskaźniki przyjęć i satysfakcji, niż narzucać swoim studentom coś tak groźnego, jak pedagogika” - twierdzi autor. Opisuje on zajęcia z muzycznej kompozycji, w których uczestniczył zeszłej jesieni. Jeden ze studentów oskarżył wówczas prowadzącego wykładowcę profesora o nazwanie Niny Simone „wściekłą”. Chodziło o jej piosenkę „Revolution”. Zaskakujący w tym przypadku był brak obrony samego siebie przez profesora. Niemal wcale nie zareagował on

na nieprawdziwą sugestię, że jest rasistą. Nie zrobił też nic w związku z informacją, że jego własny asystent zachęca studentów do złożenia formalnej skargi. Na Harvardzie studenci mają się kierować nie tylko tym, czego się uczą i w jaki sposób. Istotny jest też sposób, w jaki są za to nagradzani. „Inflacja ocen jest powszechnym problemem, ale »harwardzka piątka« jest wewnętrznym żartem, biorąc pod uwagę, jak wielu studentów zdaje się ją otrzymywać” - pisze Rhodes. Niestety, nic się w tym przypadku nie da zmienić, gdyż studenci mogą łatwo karać bardziej wymagających profesorów, unikając

zajęć przez nich prowadzonych. Autor zauważa, że erozja szkolnictwa tak postąpiła, że „stało się ono czymś więcej niż teatrem dla uprawnionych elit - przystankiem przed lukratywnymi karierami w finansach, konsultingu i medycynie”. Różnorodność ideologiczna stała się tu przestarzała. Mottem Harvardu jest słowo „veritas” (prawda), co koliduje z faktem, że uczelnia tak naprawdę nie potrzebuje wolności słowa.

Na podstawie:
spectator.co.uk

Kłeska polityki multikulti



Masowa imigracja miała być rozwiązaniem narastających problemów Starego Kontynentu. To dzięki migrantom dojść miało do wypełniania niedoborów na rynku pracy. Mówimy oczywiście o zawodach, których rdzenni Europejczycy w bogatych krajach zachodu nie chcieli wykonywać, czyli przede wszystkim niskopłatnej pracy fizycznej. Do tego w zamyśle migracja to docelowo wsparcie dla kulejącej demografii. W miarę jak posiadanie dzieci stawało się coraz mniej „popularne”, także tutaj zaradzić miała ludność napływowa. Plus oczywiście wątek ideologiczny. Lewica piała z zachwytu na myśl o tym, że wreszcie zrealizuje się tak pożądana przez tamtejszych intelektualistów idea multikulturalizmu. To rzecz jasna utopijne rojenie o współistnieniu zupełnie różnych systemów kulturowych, w których funkcjonują odmiennie wierzenia, systemy wartości i podejście np. do roli państwa i prawa.

Lewica wyrażała (i wciąż wyraża) naiwne przekonanie, że uda się zbudować idylliczny świat, w którym tak zasadnicze różnice nie będą miały żadnego znaczenia i nie będą stanowiły zarzewia poważnych konfliktów. Praktyka okazała się zupełnie inna.

W takich krajach jak Francja nie zrealizowały się rojenia lewicy rodem z piosenki „Imagine” Johna Lennona. Nie doszło do harmonijnej integracji ludzi różnych wierzeń czy kultur. Przybysze zobaczyli raczej aksjologiczną pustkę i szerzący się nihilizm Europy zachodniej. Odnieśli to do własnego systemu wartości i uznali, że Stary Kontynent nie ma im w tej materii nic do zaproponowania. Stąd, chociaż chcą tu żyć, to zupełnie nie identyfikują się z kulturą krajów przyjmujących. Jest zupełnie odwrotnie, wyrażają wobec niej bunt i chcą ją podporządkować temu, w co sami wierzą.

Problemy zachodniej Europy wynikają z niewłaściwego identyfikowania sytuacji. Decydenci na poziomie

ŚWIAT

„Kłeska polityki multikulti” - ciąg dalszy artykułu ze strony 7

unijnym podejmują starania w walce o klimat, nie zwracają natomiast uwagi na to, że Stary Kontynent wymiera i gubi własną tożsamość. Fatalne wskaźniki demograficzne nie skłaniają do wspierania rodzin z dziećmi, nie tylko finansowo ale także na płaszczyźnie werbalnej. Być może gdzieś kwestie kulturowe są nawet istotniejsze. Tymczasem narracja ze środków masowego przekazu nie zachęca do dzietności. Raczej wspiera egoizm i nihilizm.

Unia stała się organizacją jednego tematu (zmiany klimatyczne), a pomija zagrożenia realne i narastające. Nieudany eksperyment z migracją nie

pobudził do refleksji o tym, że potrzeba zwrotu w stronę własnego dziedzictwa kulturowego. Dla lewicy jest to nie do zaakceptowania, wszak z definicji odrzuca ona wszystko, co ma związek z chrześcijaństwem. A trzeba pamiętać, że światopogląd lewicowy jest częścią tożsamości unijnego politycznego mainstreamu, bez względu na partyjne etykiety. Stąd promowanie tożsamościowego zwrotu jest tam tak trudne. Lepiej zaklinać rzeczywistość i mówić, że zamieszki na francuskich ulicach wynikają z tego, że młodzież za dużo gra na komputerze.

Multikulturalizm zawiódł na całej linii. Uznanie, że wszystkie kultury są równe

oznaczało w praktyce rezygnację z tej własnej. Przyznanie się do błędu nie mieści się jednak w głowach tych, którzy są politycznymi wyznawcami tej ideologii. Dla nich ta wizja jest wciąż realna. A jeśli przeczy jej rzeczywistość? To nic, ideologia nie musi się nią przejmować. I jak widać kompletnie się nie przejmuje. Polsce w tym kontekście pozostaje wyciągnąć wnioski. Należy pielęgnować swoją tożsamość, której kluczowym komponentem jest katolicyzm. Niezwykle ważne jest wspieranie rodziny i dobra polityka demograficzna. Nie zielona transformacja ale wzrost dzietności powinny być priorytetem. Nie

możemy liczyć na to, że to imigracja rozwiąże nasze wyzwania dotyczące rynku pracy czy te odnoszące się do systemu emerytalnego. Jak pokazuje przykład krajów Zachodu błędy w polityce migracyjnej mogą być źródłem bardzo poważnych problemów. Zadanie nie będzie łatwe, niemniej nie jest niemożliwe do wykonania. Polskę stać na to, aby mieć politykę demograficzną z prawdziwego zdarzenia. Uczmy się na błędach innych, masowa imigracja nie uratuje Europy.

Autor:
Kammil Góral

A-10 Warthog będzie miał nowe skrzydła, ale daleko nie zaleci

BOEING, WSPÓŁPRACUJĄC MIĘDZY INNYMI Z KOREAN AEROSPACE INDUSTRIES, PONOWNIE USKRZYDŁA FLOTĘ A-10 THUNDERBOLT II SIŁ POWIETRZNYCH STANÓW ZJEDNOCZONYCH – PISZE „NATIONAL INTEREST”.



„Boeing pilnie pracuje nad dostarczeniem bardzo potrzebnych nowych skrzydeł dla floty A-10” - powiedział wiosną podpułkownik Jaclyn Melton, lider ds. programów A-10 w bazie Sił Powietrznych Hill. Boeing realizuje kontrakt, który otrzymał już w sierpniu 2019 r. Trwają teraz prace nad dostarczeniem Siłom Powietrznym 50 zestawów skrzydeł.

Zestaw taki składa się z zewnętrznych zespołów skrzydeł, środkowego zespołu skrzydeł, powierzchni sterowych i zestawu do integracji kadłuba. Nowa wersja skrzydeł jest bardziej wytrzymała i wydajna, a przy tym łatwiejsza w utrzymaniu, co powinno wydłużyć ich żywotność nawet do 10 tys. godzin.

„A-10 odgrywa kluczową rolę dla Sił Powietrznych i Boeing jest dumny, że może przedłużyć nasze dziedzictwo wspierania Thunderbolta i jego misji” - oznajmił Dan Gillian, wiceprezes ds. usług rządowych USA w Boeing Global Services. **„We współpracy z Siłami Powietrznymi i naszą ugruntowaną bazą dostaw, rozpoczęliśmy produkcję na pełną skalę i aktywnie wspieramy harmonogram klienta”** - dodał.

Linia produkcyjna A-10 została wcześniej zamknięta, **„a narzędzia i sprzęt umieszczono w magazynie długoterminowym”**. Jednak firma Boeing Global Services „uruchomiła na nowo oprzyrządowanie i aktywowała bazę dostaw w ciągu 12 miesięcy

od przyznania kontraktu” - wyjaśnił przedstawiciel firmy. Już wcześniej (w ramach innego kontraktu), Boeing dostarczył 173 ulepszone zespoły skrzydeł A-10.

Mimo tego, że A-10 zostaną zaopatrzone w nowe zestawy skrzydeł o przedłużonej żywotności, sama flota nie ma przed sobą zbyt długich perspektyw. Samoloty powstały jeszcze w czasach zimnej wojny, służyły do wsparcia ataku naziemnego i bliskiego zasięgu, jednak nie radziłyby sobie tak samo dobrze w walce powietrznej, a to właśnie powietrzny opór, mogłyby stawiać armie takich krajów, jak Chiny czy Rosja.

Oficjalnie więc Siły Powietrzne Stanów

Zjednoczonych zamierzają wycofać A-10, ponieważ jego utrzymanie pochłania zbyt dużo zasobów. Zaoszczędzone w ten sposób środki można zaś przeznaczyć na F-35 lub rozwój myśliwca Next-Generation Air Dominance.

Plany wycofania A-10 były już kilkakrotnie podejmowane przez Siły Powietrzne USA, do tej pory nieskutecznie. Wydaje się jednak, że tym razem jest to nie do uniknięcia, bo na nowoczesnym polu walki, ten latający czołg ma coraz mniejsze szanse.

Na podstawie:
Nationalinterest.org

Rekordowy poziom światowych dopłat do paliw kopalnych

WOJNA NA UKRAINIE WYWOŁAŁA SILNY WZROST CEN ENERGII. W KONSEKWENCJI ZWIĘKSYŁY SIĘ TEŻ PUBLICZNE DOTACJE PALIWOWE. ICH OBECNY POZIOM W UJĘCIU GLOBALNYM JEST WRĘCZ BEZPRECEDENSOWY – ZAUWAŻA DZIENNIK „EL CONFIDENCIAL”.



Atak Rosji na Ukrainę i związane z nim sankcje nałożone przez Zachód spowodowały gwałtowny wzrost cen energii. Poskutkowało to spadkiem siły nabywczej, zarówno przedsiębiorstw, jak i gospodarstw domowych na całym świecie. Rządy różnych krajów próbowały łagodzić powstające w ten sposób niezadowolenie społeczne poprzez publiczne dotacje. To sprawiło, że ubiegły rok był rekordowy pod względem globalnych dotacji na zakup „brudnych” paliw.

Międzynarodowy Fundusz Walutowy (MFW) opublikował właśnie wyniki badań, według których w 2022 r. rządy wydały łącznie 7 bln dolarów na dotacje do paliw kopalnych. Kwota ta to aż 7,1 proc. światowego produktu brutto i jest najwyższym odnotowanym wynikiem. Dla porównania - wydatki na edukację stanowiły tylko 4,3 proc. światowego produktu, a na opiekę zdrowotną - 10,9 proc.

„Podczas gdy świat walczy o ograniczenie globalnego ocieplenia do 1,5 stopnia, dotacje do ropy naftowej, węgla i gazu ziemnego kosztują równowartość 7,1 proc. globalnego produktu brutto” - zauważyli autorzy badania: Simon Black, Ian Parry i Nate Vernon. W swojej analizie uwzględnili subsydia bezpośrednie (obniżające cenę zakupu paliw poniżej faktycznej ceny rynkowej) oraz subsydia pośrednie

(czyli głównie subsydia fiskalne umożliwiające zniesienie opłat środowiskowych itp.). Bezpośrednie dotacje wyniosły ponad 1,3 bln dolarów, praktycznie podwajając wynik z 2021 r., a już wtedy był on rekordowo wysoki. Jeśli zaś chodzi o dotacje pośrednie, to nieopodatkowane płatności związane z efektami zewnętrznymi sprzedawanych paliw sięgnęły 5,7 bln dolarów, o 500 mld więcej niż w poprzednim roku. Oszacowanie dotacji pośrednich jest dość skomplikowaną kwestią. Trzeba bowiem wyliczyć koszty negatywnych efektów środowiskowych. Badacze z MFW tłumaczą, że podstawą wyliczeń jest cena, jaka powinna obowiązywać po porozumieniu paryskim. Nowsze badania pokazują jednak, że koszty klimatyczne są jeszcze wyższe, niż tam zakładano.

Większość środków z dotacji bezpośrednich posłużyła do zakupu gazu ziemnego i ropy naftowej, natomiast dotacje pośrednie dotyczyły przede wszystkim ropy i węgla, czyli paliw najbardziej zanieczyszczających. Ta zależność jest dość prosta - im bardziej „brudne” źródło energii, tym wyższa cena za negatywne skutki ich zużycia.

Taka polityka faktycznie pozwoliła na ograniczenie wzrostu cen w różnych państwach. Przykładem jest

Hiszpania, w której subsydia paliwowe obowiązywały przez większą część ubiegłego roku. Według rachunków łączna wartość dopłat paliwowych w Hiszpanii wyniosła 26 mld dolarów - większość z nich stanowiły niskie podatki środowiskowe. Najwięcej dotacji do zanieczyszczających środowisko paliw przekazano w krajach wschodzących, które charakteryzują się znaczącym kapitałem fizycznym w formie przemysłu i transportu, przy jednoczesnym zacofaniu technologicznym, wzmagającym zanieczyszczenia. W krajach Wspólnoty Niepodległych Państw, do których należy większość krajów byłego Związku Radzieckiego, pomoc bezpośrednia i pośrednia przekroczyła 23 proc. produktu brutto. Na Bliskim Wschodzie wskaźnik ten sięgnął 18 proc. Tymczasem w Europie - gdzie dopłat publicznych było najmniej - było to tylko 4 proc. produktu brutto. Badacze z MFW utyskują na powszechną tolerancję dla zniszczeń środowiskowych, ich zdaniem jest to zachęta do korzystania z paliw kopalnych, bo zwalnia się konsumentów z konieczności ponoszenia rzeczywistych kosztów ich wykorzystania. Gdyby kraje zostawiły koszty środowiskowe po stronie konsumentów, „wynikiem byłaby znaczna redukcja globalnej emisji dwutlenku węgla, czystsze powietrze, mniej chorób płuc i serca

oraz więcej przestrzeni fiskalnej dla rządów”. Według rachunków MFW wyeliminowanie subsydiów pośrednich zwiększyłoby zasoby publiczne o 4,4 bln dolarów i zapobiegło 1,6 mln przedwczesnych zgonów w skali roku.

Oznacza to jednak znaczne koszty przejściowe, o których MFW także wie. Niektóre branże i grupy społeczne o niższych dochodach musiałyby zainwestować w przemianę energetyczną środki, którymi najzwyczajniej nie dysponują. Przedstawiciele Funduszu uważają, że tym grupom należy pomóc, wykorzystując część nowych środków wygenerowanych przez podatki środowiskowe.

Środki z podatków mogłyby też posłużyć do „obniżenia podatków od pracy i inwestycji oraz finansowania usług publicznych, takich jak edukacja i zdrowie”, uważają eksperci z MFW. Swoją analizę zamykają stwierdzeniem, że nadszedł „właściwy czas”, by rządy musiały internalizować koszty negatywnego wpływu na środowisko. Chodzi o to, że ceny energii na międzynarodowym rynku zaczną w końcu spadać, a to umożliwiłoby przerzucenie kosztów środowiskowych na konsumentów bez podnoszenia ostatecznej ceny energii.

Na podstawie:
El Confidencial

GOSPODARKA

Borell określił migrację „siłą destrukcyjną” podczas wywiadu, który udzielił brytyjskiemu „Guardianowi”. Jego zdaniem różnice zdań w sprawie tego, jak rozwiązać ciągły europejski kryzys migracyjny, mogą doprowadzić do całkowitego rozpadu bloku. Borell uważa, że problem migracji stanowi dla Unii większe zagrożenie niż Brexit, czyli opuszczenie struktur unijnych przez Wielką Brytanię. „Migracja silnie dzieli Unię Europejską. I może być siłą, która ją rozwiąże” - powiedział Hiszpan.

Były hiszpański minister spraw zagranicznych uważa, że Unia nie potrafi wypracować wspólnej, powszechnie akceptowanej polityki migracyjnej ze względu na obecne w niej różnice kulturowe. Jego zdaniem takie kraje, jak jego ojczyzna, od lat zachęcają do imigracji, natomiast inne mogą mieć nastawienie bardziej „w stylu japońskim”.

„Niektórzy członkowie Unii Europejskiej mają japoński styl - nie chcą się mieszać. Nie chcą imigrantów. Nie chcą przyjmować ludzi z zewnątrz. Chcą własnej jednorodności” - powiedział Borrell. „Paradoks polega na tym, że Europa potrzebuje migrantów, ponieważ mamy bardzo niski wzrost demograficzny. Jeśli chcemy przetrwać z punktu widzenia siły roboczej, potrzebujemy migrantów” - dodał. Neoliberalowie z Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych przekonują, że najlepszym rozwiązaniem problemu spadku demograficznego jest importowanie milionów uchodźców z „globalnego południa”. Tymczasem bardziej konserwatywne kraje, takie jak Węgry czy Polska, uważają, że lepiej wprowadzać politykę prorodziną (ulgi podatkowe, dotacje), aby pobudzić wzrost liczby ludności.

„Kraj będzie w stanie przetrwać tylko wtedy, gdy jego obywatele będą podzielać w dużej mierze te same wartości - w przeciwnym razie naród, kraj rozpadnie się” - powiedział premier Węgier Viktor Orbán w 2021 r. Przestrzegał też wtedy przed zwolennikami masowej migracji, którzy

CZY KRYZYS MIGRACYJNY MOŻE ZNISZCZYĆ UNIĘ EUROPEJSKĄ?

JOSEP BORRELL, WYSOKI PRZEDSTAWICIEL UNII EUROPEJSKIEJ DO SPRAW ZAGRANICZNYCH I POLITYKI BEZPIECZEŃSTWA, POWIEDZIAŁ, ŻE MASOWA MIGRACJA MOŻE ZNISZCZYĆ UNIĘ – POINFORMOWAŁ SERWIS BREITBART.



jego zdaniem dążą do wytworzenia „nowego proletariatu” zagranicznych pracowników w zachodnich krajach. Borell udzielił wywiadu w momencie, kiedy Unia Europejska próbuje zmusić Węgry i Polskę do przyjmowania nielegalnych migrantów z innych państw członkowskich, aby problem rozłożył się bardziej równomiernie. Nowe prawo unijne pozwala karać państwa członkowskie grzywną w wysokości 20 tys. euro za każdego nieprzyjętego nielegalnego imigranta. PiS ogłosiło, że podda tę sprawę pod referendum, by poznać zdanie

obywateli.

Ogromna fala nielegalnych migrantów zalewa natomiast Włochy. Na włoską wyspę Lampedusa w ciągu kilku dni przybyło przez Morze Śródziemne 15 tys. migrantów z Afryki. Ludność tej wyspy liczy tylko 6 tys. Choć jednym z haseł wyborczych aktualnej włoskiej premier Giorgii Meloni było „zatrzymać łodzie” i wyrażała ona dość odważny pomysł wprowadzenia blokady morskiej w celu przeciwdziałania przemytnikom, to właśnie pod panowaniem jej rządu, napływ migrantów na łodziach jest

rekordowo wysoki. Nie podjęto żadnych zdecydowanych działań mogących ograniczyć ten problem. Zamiast tego wysłano pomoc finansową Libii i Tunezji, by mogły walczyć lokalnie z przemytnikami ludzi. Unia Europejska wypłaciła właśnie Tunezji 127 mln euro w ramach pomocy finansowej.

Na podstawie:
Breitbart.com

WIELU NAUKOWCÓW KWESTIONUJE KRYZYS KLIMATYCZNY

CORAZ WIĘCEJ OSÓB PODEJRZewa, ŻE ZA KRYZYSEM KLIMATYCZNYM KRYJĄ SIĘ PLANY KONTROLI POPULACJI. TRUDNO WIERZYĆ W NADCIĄGAJĄCĄ KATASTROFĘ, SKORO SAMI PROROCY TEGO STANU RZECZY ANI TROCHĘ NIE ZMIENIAJĄ STYLU ŻYCIA I WCIAŻ KUPUJĄ REZYDENCJE NA PLAŻACH – ZAUWAŻA „LA GACETA DE LA IBEROSFERA”.



Gdyby wierzyć mediom, to świat już za moment stanie się przegrzonym piekłem, a winne są temu krowy, które produkują metan oraz samochody jeżdżące na benzynie. Klimatyczna histeria wciąż wzrasta. Tyle tylko, że coraz liczniejsze grono ludzi przypuszcza, że nie chodzi o klimat, a o kontrolę populacji. Wątpią też naukowcy. Sceptycy zyskali ostatnio potężnego sojusznika w dużej grupie naukowców z całego świata. Aż 1609 przedstawicieli świata nauki oświadczyło, że nie istnieje kryzys klimatyczny, podkreślając, że dwutlenek węgla jest dobry dla Ziemi. Global Climate Intelligence Group (CLINTEL) w swoim Światowym Oświadczeniu Klimatycznym, wydanym w sierpniu stwierdza jasno: „Nie ma kryzysu klimatycznego”,

zauważając przy tym, że „nauka o klimacie powinna być mniej polityczna, podczas gdy polityka klimatyczna powinna być bardziej naukowa. Naukowcy powinni otwarcie odnieść się do niepewności i przesady w swoich prognozach dotyczących globalnego ocieplenia, podczas gdy politycy powinni beznamiętnie policzyć rzeczywiste koszty, a także wyobrażone korzyści wynikające z ich środków politycznych”. Ta duża grupa naukowców podkreśla, że klimat na Ziemi zmieniał się zawsze. Bywało i bardzo gorąco i bardzo zimno, a mała epoka lodowcowa zakończyła się dopiero w 1850 r. Uważają więc, że nie jest w tym nic zaskakującego, że „obecnie doświadczamy okresu ocieplenia”. Twierdzą też, że ocieplenie następuje znacznie wolniej, niż przewidywano.

„Wielu naukowców kwestionuje kryzys klimatyczny”
- ciąg dalszy artykułu na stronie 11

EKOLOGIA

„Wielu naukowców kwestionuje kryzys klimatyczny” - ciąg dalszy artykułu ze strony 10

„Modele klimatyczne mają wiele wad i nie są wiarygodne jako narzędzia polityczne. Wyolbrzymiają wpływ gazów cieplarnianych i ignorują fakt, że wzbogacanie atmosfery w CO2 jest korzystne” - zauważają w swoim oświadczeniu. Koalicja wskazała też, że gaz ten w ogóle „nie jest zanieczyszczeniem”. Jest bowiem

niezbędny dla całego życia na Ziemi i potrzebny przyrodzie. Według nich dodatkowy CO2 powoduje wzrost globalnej biomasy roślinnej, zwiększając plony na całym świecie. Nie wierzą też w to, że globalne ocieplenie powoduje wzrost liczby klęsk żywiołowych. Twierdzą, że „nie ma dowodów statystycznych” na to, że

wyższe temperatury wpływają na siłę i częstotliwość huraganów, powodzi i suszy.

„Nie ma zagrożenia klimatycznego. Dlatego nie ma powodu do paniki lub niepokoju. Zdecydowanie sprzeciwiamy się szkodliwej i nierealistycznej polityce zerowej

emisji CO2 netto, proponowanej na rok 2050. Postawmy na adaptację, a nie łagodzenie skutków. Adaptacja działa niezależnie od przyczyn” - apelują w swoim oświadczeniu.

Autor:
Redakcja

UKRYTE KOSZTY OZE

ENERGIA ODNAWIALNA JEST DROŻSZA, NIŻ SIĘ SADZI. PRZEJŚCIE NA EKOLOGIE JEST WIĘC KOSZTOWNIEJSZE, NIŻ SPODZIEWAJĄ SIĘ DECYDENCI. NA SZCZĘŚCIE, ŚWIAT WCIAŻ POPRAWIA SWOJĄ ZDOLNOŚĆ DO WYKORZYSTYWANIA ZASOBÓW NATURALNYCH - PISZE „THE ECONOMIST”.



Jeśli chodzi o energię odnawialną, nie jest bez znaczenia, kiedy jest ona produkowana. Trudność jej przechowywania sprawia, że jej ekonomia nie jest zwykła. W tym przypadku ważną kwestią jest nie tylko „ile”, ale także „kiedy”. Tymczasem, jeśli chodzi o ropę naftową, nieistotne jest czy jest ona pompowana w południe, czy o północy.

Coraz tańsza?

Mówi się, że koszty energii wiatrowej i słonecznej spadają, ponieważ świat poprawia swoją zdolność do wykorzystywania zasobów naturalnych. Według oficjalnej agencji amerykańskiej Energy Information Administration (EIA), wyrównany koszt* morskiej energii wiatrowej wynosił w 2014 r. około 200 dol. za 1 MW, a do 2023 r. spadł do 127 dol., z wyłączeniem dotacji. Dlaczego więc branża, wciąż boryka się z trudnościami? Serwis informacyjny Bloomberg podał niedawno, że sześciu gubernatorów stanowych błagało Joe Bidena o interwencję w celu ratowania producentów OZE. Problem nie dotyczy tylko USA. W Wielkiej Brytanii ostatnia aukcja morskiej energii wiatrowej nie przyciągnęła żadnych ofert.

By to zrozumieć, należy bardziej szczegółowo rozważyć wyrównany koszt energii - zauważa „The Economist”. Jeśli powrócimy do świata, w którym do wyboru mamy jedynie gaz, węgiel lub energię jądrową, to okaże się, że wyprodukowanie energii różni się, zarówno pod względem kosztów stałych, jak i zmiennych. Koszty elektrowni jądrowej są w większości stałe. Najpierw trzeba ją co prawda wybudować, ale potem wyprodukowanie kolejnej jednostki energii elektrycznej jest niedrogię. Dokładnie odwrotnie jest w przypadku elektrowni gazowej - tu koszty są zmiennie, bo większość z nich stanowi paliwo.

Według EIA wyrównany koszt energii jądrowej wynosi 91 dol. za 1 MWh. Gaz ziemny kosztuje 43 dolary. To jednak nie koniec. „Koszty różnią się też w zależności od tego, jak często dane źródło wytwarza energię. Elektrownia jądrowa będzie najtańsza, jeśli będzie działać nieprzerwanie, ponieważ wysokie koszty początkowe pozwolą uzyskać większą produkcję. Gaz, z niskimi kosztami stałymi i wysokimi kosztami zmiennymi, ma niższe korzyści skali. Węgiel plasuje się gdzieś pomiędzy nimi” - zauważa „The Economist”. Jeśli wzięłoby się pod

uwagę jedynie korzyści finansowe, to optymalny mikś energetyczny jest wtedy, gdy energia jądrowa pokrywa „obciążenie podstawowe” lub minimalny poziom zapotrzebowania, węgiel służy dla „średniego obciążenia” i wreszcie gaz ziemny dla „obciążenia szczytowego”, gdy zapotrzebowanie jest najwyższe. Jeśli doda się do tego cenę emisji dwutlenku węgla, węgiel przegrywa z gazem ziemnym, który jest mniej zanieczyszczający. OZE zakłócają obecnie tę dynamikę, gdyż produkują energię w zależności od pogody, co wymaga dostosowania do nich reszty systemu energetycznego. W przypadku gazu nie ma z tym większego problemu, gdyż cechują go niskie koszty stałe i wysokie zmienne. Jednak energia jądrowa staje się automatycznie znacznie droższa. Zbyt kosztowne jest budowanie elektrowni atomowej, zakładając, że miałyby działać głównie w okresach bezwietrznych.

Droższe, niż się wydaje

To wszystko powoduje, że panele słoneczne i turbiny wiatrowe są mniej korzystne, niż większość zakłada. Nie mogą one zawsze wytwarzać energii elektrycznej wtedy, gdy jest ona potrzebna. Ich moc wytwórcza

nie jest więc tak wartościowa, jak moc zwykłej elektrowni. By to porównać, należy wziąć pod uwagę, nie tylko to, ile kosztuje wyprodukowanie każdej megawatogodziny, ale także wartość tej konkretnej godziny. Zwłaszcza że energia w nocy jest mniej cenna niż ta wytwarzana w czasie, gdy korzysta z niej najwięcej zakładów i osób. „Na wyidealizowanym rynku, z cenami aktualizowanymi z chwili na chwilę i geograficznie od węzła do węzła w sieci, względna korzyść każdego źródła energii byłaby łatwa do obliczenia: zależałaby od »współczynnika przechwytywania«** - wyjaśnia „The Economist”. W praktyce ceny energii elektrycznej powinny być wyższe, gdy ludzie najbardziej jej potrzebują, zwiększając współczynnik wykorzystania źródeł, które produkują w tym czasie. Na szczęście w przypadku paneli słonecznych, są one najbardziej wydajne w ciągu dnia, co czyni produkowaną przez nie energię użyteczną. W przypadku energii wiatrowej sprawdza się w zimnych, wietrznych miesiącach. Jednak, w miarę jak coraz więcej odnawialnych źródeł energii dołącza do sieci, wskaźnik wychwytywania będzie spadał, ponieważ obfitość paneli słonecznych oznacza, że gdy jest

POLSKA

„Ukryte koszty OZE” -
ciąg dalszy artykułu ze strony 11

słonecznie, ceny energii elektrycznej są bardzo niskie, a nawet ujemne.

Nieopłacalne?

Biorąc pod uwagę koszty, mierzone w USA przez EIA, większość odnawialnych źródeł energii wydaje się mniej konkurencyjna. Koszt energii słonecznej wynoszący 23 dol. za MWh spada poniżej średniego wskaźnika wychwytu, wynoszącego 20 dol. za wytworzoną energię elektryczną. To wciąż jednak wystarczająco dobry wynik, by pokonać wszystko poza wiatrem na lądzie, energią geotermalną i dodaniem większej liczby akumulatorów do sieci. Z kolei morska energia wiatrowa wydaje się wręcz niekonkurencyjna: współczynnik wychwytywania energii elektrycznej wynosi około 30 dol. w porównaniu z kosztem 100 dol. za MW - tylko energia jądrowa i węgiel mają niższe wskaźniki. Dodając do tego rosące koszty wynikające z wyższych stóp procentowych i zakłóceń w łańcuchach dostaw, nic dziwnego, że wielu dostawców morskiej energii wiatrowej boryka się z trudnościami. Trzeba wziąć też pod uwagę, że większość rynków energii elektrycznej nie jest idealna. Ceny nie odzwierciedlają prawdziwej wartości czasu i miejsca. Nie daje to pełnego obrazu, ile naprawdę społeczeństwo potrzebuje energii elektrycznej.

Na przykład w Wielkiej Brytanii hurtowe ceny energii elektrycznej są ustalane dla półgodzinnych bloków. Wprawdzie powinno to pokazywać przyzwoity obraz tego, czy odnawialne źródła energii produkują energię w niewłaściwych porach dnia, ale istnieje tylko jedna cena dla całego kraju. Na dodatek większość lądowych farm wiatrowych znajduje się w Szkocji, choć największej energii elektrycznej potrzebuje południowa Anglia. Do niedawna jednak w Anglii obowiązywał zakaz ich budowy. Brak przepustowości w sieci, która mogłaby przesyłać energię elektryczną na południe, powoduje, że zarządca sieci płaci za wyłączenie turbin wiatrowych w Szkocji, podczas gdy elektrownie gazowe w Anglii są włączone.

Niezbędne jest więc zwiększenie zdolności sieci do przesyłania i magazynowania energii elektrycznej. To rozwiązałoby wiele problemów. Na chwilę obecną jednak porównanie kosztów ze wskaźnikiem przechwytywania nie daje dokładnego obrazu względnych korzyści płynących z budowy większej liczby szkockich elektrowni wiatrowych. Prawdziwe koszty energii odnawialnej są większe, niż się wydaje.

* Wyrównany koszt energii - stałe i zmienne koszty produkcji energii przez cały okres eksploatacji elektrowni i zważenie ich przez oczekiwaną liczbę watogodzin, które elektrownia wyprodukuje.

** Współczynnik przechowywania - różnica między ceną rynkową otrzymywaną przez źródło a średnią ceną energii elektrycznej w danym okresie.

Na podstawie:

The Economist

O parszywych owcach

(CZ. 1)



Chrzest Polski, współczesny fresk w Gnieźnie, obok pomnika Bolesława Chrobrego, w pobliżu katedry. (Źródło: Wikipedia.org)

Wojna na Ukrainie wywołała falę solidarności wielu krajów europejskich wspierających ten kraj brutalnie napadnięty przez imperialistyczną Rosję. To jednak nie oznacza, że w regionie Europy Środkowej zapanowała zgodność poglądów politycznych oraz jednorodność woli integrowania się na rzecz obrony własnych regionalnych interesów. Rosja nadal ma tu swych sympatyków, zwłaszcza na Węgrzech i w Serbii. Nie ustał też odruch separowania się od krajów, które wykazują się krnąbrnością względem dominującej na Zachodzie narracji politycznej. Osiem lat temu powstał Trójkąt Sławkowski mający w swoisty sposób wykluczać „parszywe owce”, za jakie uznaje się Polskę i Węgry, a pomimo rozmaitych nowych inicjatyw z udziałem Polski nadal trwa owo nastawienie, aby na ile możliwe wygaszać ogniska buntu względem opcji dominującej na Zachodzie. To nastawienie jest bardzo obecne wśród obywateli poszczególnych krajów, a w tym i u nas. Przed laty Donald Tusk napisał, że „polskość to nienormalność”, i trwają starania, by w miejsce nienormalności zapanowała normalność, zaś wszyscy zgodnie poddali się temu, co mówią mądrzejsi koledzy z Berlina, Paryża i Brukseli. Manfred Weber zapowiedział budowę zapory ogniowej mającej wykluczyć polską partię Prawo i Sprawiedliwość, zaś Polskę poprowadzić z powrotem do Europy. Wiele Polek i wielu Polaków się z tym zgadza.

Polska weszła do Europy w roku 966 wraz z chrztem dokonany przez Mieszka I. Kiedy z tej Europy wyszła, skoro ponownie trzeba ją tu przyprowadzić? Pomijając polski werdykt wyborczy z roku 2015, zazwyczaj wskazuje się na przełom XVII i XVIII wieku, kiedy to nie dołączyliśmy do ogromnych zmian strukturalnych odbywających się na Zachodzie i towarzyszącemu im podbojowi świata. Polska przestała

być nowoczesna i dlatego została rozebrana przez kraje nowoczesne, zaś odtąd w sposób nie nowoczesny i nienormalny ciągle działała jako krnąbrna siła rozbijająca europejską jedność.

Warto jednak zauważyć, że przełom XVII i XVIII wieku to nie tylko był czas gigantycznego triumfu Zachodu, w czym Polska nie wzięła udziału na swoją własną zgubę. To także był czas upadku chrześcijaństwa, upadku równowagi w światowej polityce, czas wzrostu absolutyzmów pierwotnie wzorowanych na Imperium Osmańskim oraz mających swe podstawy teoretyczne w myśli Niccolò Machiavellego. To był czas uprzedmiotowienia społeczeństw. A upadek chrześcijaństwa polegał głównie na tym, że wobec wspaniałych postępów techniki, nauki oraz organizacji nie potrafiło przeprowadzić takiego „aggiornamento”, które poniewczasie odbyło się dopiero podczas II Soboru Watykańskiego. W XVIII wieku biskupi pozostawali na służbie monarchów, zaś rozwój świata pozostawiono samemu sobie, a stąd wyrosło to, co wyrosło. Nie da się zrozumieć tragedii XX wieku, gdy się nie sięgnie do tego gigantycznego triumfu Zachodu z XVII i XVIII wieku - triumfu, zajadłe dziś krytykowanego przez nową kulturą i który jest osądzany jako gigantyczny upadek ludzkości, przez co burzy się pomniki kolonizatorów i tyranów.

Choć Polska ze swym obecnym rządem jest krnąbrna względem obecnie obowiązującej linii politycznej Zachodu, to pozostaje w zgodzie z linią z czasów początku procesu integracji europejskiej, symbolizowaną przez Roberta Schumana, Konrada Adenauera i Alcide de Gasperiego. Ci wcale nie stawiali na jednorodność polityczną oraz silną władzę centralną, lecz właśnie na różnorodność, bo w tej widzieli prawdziwe bogactwo

kontynentu. W optyce różnorodności dobrze mieć parę krnąbrnych krajów, bo w pewnych sytuacjach potrzebna bywa krytyka oraz opozycja. Schuman czy Adenauer nigdy by nie zakładali zapory ogniowej mającej zwalczać te opcje polityczne, które nie śpiewają jednym głosem z mającymi przewagę. Im bowiem nie chodziło o zdobycie i utrzymanie władzy, lecz o wypracowywanie wspólnego dobra oraz uruchamianie naturalnej solidarności z zachowaniem maksymalnej wolności poszczególnych krajów, tak dużych, jak i małych.

Zamiast krytyki, że „polskość to nienormalność”, warto zauważyć, jak nigdy nie gasnący polski ruch niepodległościowy pociągnął za sobą inne narody do walki z imperiami europejskimi, dzięki czemu w krótkotrwałej koniunkturze dwudziestolecia międzywojennego narodziła się cała sieć niepodległych państw Europy Środkowej, zaś potem skruszone zostało zniewolenie ich przez komunizm. Gdy dziś Niemcy twierdzą, iż obalili Mur Berliński, jest to bujda na resorach. Mur by nie upadł, gdyby nie długoletni ogromny wysiłek buntowniczych Polaków. Mur Berliński symbolizował normalność swej epoki, podobnie jak wcześniej tyranie europejskich cesarzy, wzorowane na tyranii Imperium Osmańskiego. Potrzebna była polska nienormalność, by mógł narodzić się rozwój. To Polacy prowadzili inne ludy do Europy, gdy na kontynencie szerzyły się tyranie oraz imperializmy. A dziś wcale nie stoi przed nami wyzwanie tego, by Polskę doprowadzić do Europy. To raczej Europę należy wyprowadzić ze stanu sklerozy, gdy jedna opcja polityczna stara się zawłaszczyć cały kontynent i zaporami ogniowymi wypalać wszelką konkurencję.

Gdyby zadać pytanie, czy to wygodne być kimś nienormalnym, krnąbrnym, stale kwestionującym obowiązujący

POLSKA

„O parszywych owcach cz.1” -
ciąg dalszy artykułu ze strony 12

porządek, trzeba jednoznacznie powiedzieć, że nie. Nie ma nic miłego w stale składanych daninach krwi, a nawet w tym, że jest się nazywanym parszywą owcą w stadzie europejskim. Nasza przypadłość bycia nienormalnymi przynosi wiele bólu. Jednak wcale nie oznacza to, iż krnąbrność jest nieopłacalna. Za czasów wspomnianego wyżej Mieszka I władca Czech Bolesław Srogi miał mniej więcej tę samą liczbę poddanych - Polska i Czechy były wówczas równe liczbą ludności. Przez tysiąc lat Polacy celowali w krnąbrności, zaś Czesi w konformizmie. Dziś Polaków jest cztery razy więcej niż Czechów. W ten prosty sposób można policzyć, na ile warto być krnąbrnym.

Upadek znaczenia Polski na przełomie XVII i XVIII wieku wynikał nie tyle z polskiej krnąbrności, co raczej z niedostatków owej krnąbrności. Polskim elitom zabrakło zmysłu, by się okazać „nienormalnymi” i zamiast się zachowywać egoistycznie i krótkowzrocznie, wedle obowiązującego w Europie modelu, nadać Ukrainie te prawa, których domagał się Bohdan Chmielnicki, a potem, choć po czasie, oficjalnie zostały uchwalone w ramach Unii Hadziackiej 1658. Gdyby nie osłabienie spowodowane wojną domową między Polską a Ukrainą, nasza wspólna Rzeczpospolita wcale by nie musiała upaść. A z tego da się wyciągnąć lekcje również i dla naszych czasów. Wbrew temu, co nakazuje nowoczesność, w budowaniu relacji regionalnych, zwłaszcza z Ukrainą, sięgamy do wzgardzonego chrześcijaństwa. Stawiamy na równość, wolność, solidarność i braterstwo. Żadnych zapór ogniowych. Tu trzeba przypomnieć, że Jezus Chrystus nie był konformistą i nie bał się sam być uważanym za parszywą owcę.

Autor:
Marek Oktaba

Zarówno wewnętrzne problemy Pierwszej Rzeczypospolitej z przełomu XVII i XVIII wieku, jak i nierówności gwałtownego rozwoju Zachodniej Europy tego samego czasu w swym głębokim tle miały kryzys chrześcijaństwa. Oczywiście, ono nadal istniało oraz rodziło świętych, jednak w skali kontynentu stało się miałkie i jakby nieobecne, pozostając w służbie tych, którzy sprawowali władzę polityczną. Tworzenie się Oświecenia oraz rewolucja naukowo techniczna odbywały się przy nieobecności chrześcijaństwa, i to im zaszkodziło. Jeżeli dziś Polska bywa nazywana parszywą owcą w stadzie europejskim jako taka krnąbrna i krytykancka, to pokazuje, iż w skali całego kontynentu doszło do zagubienia mądrości.

Chęć wyeliminowania tego, kto ma odmienną opinię, znamionuje nie tylko upadek przykazania miłości bliźniego, ale i tradycji republikańskich sięgających Peryklesa i Cyncera. Gdy pytać europejskich naukowców, co takiego sprawiło, iż na pewien czas Europa zapanowała nad całym światem, najczęściej wskazują na europejski mechanizm rywalizacji, który ukształtował ekspansywne

O parszywych owcach (CZ. 2)



mocarstwa kolonialne. Ciekawe, że inne odpowiedzi dają naukowcy zatrudniani przez rząd Chińskiej Republiki Ludowej. Ci wskazują na chrześcijaństwo jako odpowiedzialne za niezwykłość, odmienność drogi europejskiej.

Gdy uważnie przyjrzeć się naszej historii, to rzeczywiście zauważamy, jak bardzo chrześcijaństwo nauczyło Europejczyków owocnej współpracy ponad podziałami, różnicami oraz konfliktami interesów. Europa stała się raczej kontynentem współpracy niż rywalizacji, choć i ta ostatnia odegrała swą korzystną rolę. Jednak i dla rywalizacji chrześcijaństwo nadawało ramy etyczne, przez co z potencjalnej siły niszycielskiej przeradzała się ona w wyścig fair play.

W długiej skali historii Europy ten czas, gdy mocarstwa kolonialne podbijały świat, wcale nie musi być nazwany okresem największego triumfu. W znacznym stopniu to był czas odchodzenia od zasad chrześcijaństwa, co na krótką metę nawalo ogromne zyski, jednak na długą metę zakończyło się tym, jak dzisiejsze ruchy lewicowe burzą pomniki białych kolonizatorów. Przełom XVII i XVIII wieku to czas, gdy wzgardzono Ewangelią, zaś wdrażano azjatyckie despotyczne wzory brane ze Stambułu oraz Moskwy. Szczęśliwie, to była tylko jedna z warstw w ramach europejskiej różnorodności, a nigdy nie zanikły tradycje rzeczywistej demokracji oraz współpracy ponad podziałami. Trzeba jednak wspomnieć, że ta despotyczna warstwa nadal jest obecna w myśleniu Zachodu, a dziś wyraża się w protekcyjnym podejściu do środkowo-wschodniej części kontynentu, stanowiącej swego rodzaju nową strefę kolonialną. Gdy Polskę szkaluje się jako parszywą owcę w europejskim stadzie, to właśnie za krytykowanie owego nadal obecnego post-azjatyckiego despotyzmu.

Przełom XVII i XVIII wieku był czasem nadzwyczaj ciekawym, bo wtedy rodziły się eksperymenty wdrażania zasad Ewangelii wbrew

stanowisku biskupów. Jedne z tych eksperymentów były bardziej, inne mniej udane. Najważniejszy z nich miał miejsce na atlantyckim wybrzeżu Ameryki Północnej, na terenie ówczesnych kolonii angielskich, które z czasem wywalczyły swoją niepodległość. Osiedlali się tu osadnicy, którzy uchodzili spod feudalno-burżuazyjnej władzy monarchii europejskich i odnajdywali tu niezwykle pole wolności. Z jednej strony mieli do swej dyspozycji bardzo żyzne gleby oraz liczne bogactwa kraju, jednak z drugiej strony musieli się przeciwstawić wielkim wyzwaniom klimatycznym, charakterystycznym dla panującej epoki globalnego ochłodzenia. W Europie mieliby nad sobą aparat biurokratyczny narzucający swe decyzje, zaś w Ameryce byli zdani wyłącznie na własne siły. I to ich nauczyło niezwykle amerykańskiej współpracy, zawsze z towarzyszącą jej zdrową rywalizacją. Równowaga współpracy i rywalizacji to klucz do zrozumienia sukcesu Stanów Zjednoczonych. Zaś u korzeni tego kraju znajdowali się purytańscy osadnicy angielscy, uciekający spod władzy biskupów anglikańskich i z całym głębokim przekonaniem starający się budować zręby Królestwa Bożego. To właśnie religijny klimat narzucały przez tych purytanów społeczności i z czasem uzyskanie niepodległości.

Na przełomie VIII i XIX wieku, gdy Europą włądała stara arystokracja feudalna przeradzająca się w nową arystokrację burżuazyjną, miały miejsce zaczątki interesującego braterstwa polsko-amerykańskiego, czego symbolami stali się Kazimierz Pułaski i Tadeusz Kościuszko. Nie byli oni jedynymi aktorami tego braterstwa. Gdy John Smith w początkach XVII wieku organizował osadę Jamestown, sprowadził do niej Polaków, którzy bardzo się przyczynili do jej gospodarczego rozwoju. Aż do czasów wielkiej emigracji z przełomu XIX i XX wieku mieszkańcy Europy Środkowo-Wschodniej świetnie się

odnajdywali na ziemi amerykańskiej, zarówno przez swą głęboką religijność, jak i umiłowanie wolności. W roku 1919 przybyła do Polski grupa lotników amerykańskich, którzy zaangażowali się w wojnę z bolszewikami, starając się w ten sposób spłacić dług honorowy za polskie zaangażowanie epoki Kazimierza Pułaskiego. Dziś nieśmiało odradza się to braterstwo polsko-amerykańskie, choć brakuje mu wspierających je poważnych organizacji społeczeństwa obywatelskiego. Braterstwa nie utworzą cyniczni politycy i urzędnicy.

A za znak firmowy tego braterstwa warto uznać chrześcijaństwo, z odwołaniem do dziedzictwa Jana Pawła II, cieszącego się uznaniem w szerokich kręgach amerykańskich. Gdy dziś szkaluje się Polskę jako parszywą owcę w europejskim stadzie za to, że nie beczy w jednorodnym tonie, są to działania zagrażające dobru kontynentu, bo niszczenie opozycji jest wbrew europejskiej tradycji republikańskiej. Likwidacja polskiej odmienności byłaby zapewne z zadowoleniem zanotowana przez naukowców z Chińskiej Republiki Ludowej, bo to by oznaczało odwracanie się Europy od chrześcijaństwa, najważniejszego źródła mocy. Ta odmienność może też być potrzebna jako punkt zaczepienia dla owocnej współpracy ze znaczącymi środowiskami amerykańskich chrześcijan. Przy tym nie chodzi o żaden rodzaj nowego uniformizmu, aby po dekadach władzy polityków lewicowo-liberalnych narzucać władzę chrześcijan. Tak się nigdy nie stanie, i bardzo dobrze, bo to by było wbrew Ewangelii.

Chrześcijanie mają stanowić jedną z opcji w ramach wielkiej różnorodności, a jeżeli chcą mieć wpływ na bieg spraw publicznych, to muszą wykrzesać z siebie taki entuzjazm religijny, jakim cechowali się amerykańscy purytańscy pionierzy.

Autor:
Marek Oktaba

POLSKA

Polska, broniąc naszych rolników, nie łamie Europejskiej solidarności z Ukrainą

URUCHOMILIŚMY TYMCZASOWY MORSKI KORYTARZ EKSPORTOWY Z NASZYCH PORTÓW. CIĘŻKO PRACUJEMY NAD ZACHOWANIEM SZLAKÓW LĄDOWYCH DLA EKSPORTU ZBOŻA. I NIEPOKOJĄCE JEST TO, JAK NIEKTÓRZY W EUROPIE, NIEKTÓRZY NASI PRZYJACIELE W EUROPIE, ODGRYWAJĄ W TEATRZE POLITYCZNYM SOLIDARNOŚĆ, ROBIĄC THRILLER ZE ZBOŻEM. MOŻE SIĘ WYDAWAĆ, ŻE ODGRYWAJĄ WŁASNĄ ROLĘ, ALE W RZECZYWISTOŚCI POMAGAJĄ PRZYGOTOWYWAĆ SCENĘ DLA MOSKIEWSKIEGO AKTORA – POWIEDZIAŁ WE WTOREK W NOWYM JORKU ZEŁENSKI.



Uruchomiliśmy tymczasowy morski korytarz eksportowy z naszych portów. Ciężko pracujemy nad zachowaniem szlaków lądowych dla eksportu zboża. I niepokojące jest to, jak niektórzy w Europie, niektórzy nasi przyjaciele w Europie, odgrywają w teatrze politycznym solidarność, robiąc thriller ze zbożem. Może się wydawać, że odgrywają własną rolę, ale w rzeczywistości pomagają przygotowywać scenę dla moskiewskiego aktora - powiedział we wtorek w Nowym Jorku Zełenski. Nie wskazał wprawdzie palcem, kogo ma na myśli, ale w kontekście decyzji Polski, Słowacji i Węgier dotyczącej przedłużenia terminu obowiązywania embarga na eksport ukraińskiego zboża, jest to aż nadto oczywiste. Jednak w sytuacji, gdy rynkowa cena pszenicy w Polsce, to obecnie 800 złotych za tonę, mówienie o braku zakłóceń na rynku, co usłyszeliśmy z ust odpowiedzialnego za handel w UE wiceprzewodniczącego wykonawczego Komisji Europejskiej do spraw gospodarki Valdisa Dombrovskisa, wydaje się zaklinaniem rzeczywistości.

Zobowiązanie Ukrainy przez Komisję Europejską do dodatkowych środków kontroli eksportu czterech zbóż; pszenicy, kukurydzy, rzepaku i słonecznika, pośrednio potwierdza, że prace podjęte w ramach tzw. Platformy Koordynacyjnej (wbrew stwierdzeniom Dombrovskisa) nie ustabilizowały sytuacji. Bułgaria i Rumunia uległy presji eurokratów, przyjmując jednocześnie za dobrą

monetę zapewnienia Ukrainy, że w ciągu 30 dni wdroży ona odpowiednie kroki prawne w postaci systemu zezwoleń na eksport. Trudno owe zapewnienia brać za dobrą monetę, skoro po dymisji ukraińskiego Ministra Obrony odwołano jego sześciu zastępców, a wcześniej wszystkich kierujących Wojskowymi Komendami Uzupelnień. Pomimo wojny, korupcja i system oligarchiczny wciąż pozostają bolączką Ukrainy. Ma tego świadomość premier Mateusz Morawiecki, dlatego polski zakaz obejmuje nie tylko wymienione cztery zboża, ale także wyroby przetworzone, co powinno zapobiec ewentualnym próbom obejścia zakazu. **„Myślę, że Ukraina powinna jednak pamiętać, że to Polska jej pomaga, ale Polska ma też prawo chronić swój rynek. Polska przeciw nie zakazuje tranzytu”** – podkreślił w środę w rozmowie z Programem I Polskiego Radia szef sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych Radosław Fogiel i stwierdził też, że: **„Wprost przeciwnie, ten wolumen zboża, który jest tranzytowany przez Polskę, rośnie”**. Dodał również, że sam wyjazd zboża z Ukrainy jest przez nas wspierany, tylko nie powinno ono zostać w Polsce.

Odrębna kwestia to postawa Przewodniczącej KE Ursuli von der Leyen, która ogłaszała decyzję o wygaśnięciu embarga. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie podziękowania Zełenskiego, który w reakcji na wystąpienie Przewodniczącej dziękował jej „za

dotrzymanie słowa”. Kto zatem, kiedy i na jakiej podstawie poczynił wobec Ukrainy zobowiązania w sprawie uwolnienia europejskiego rynku dla ukraińskiego zboża, zanim jeszcze zapadła decyzja, obwieszona przez von der Leyen?!

Znamienne, że w krótkim czasie atmosfera pomiędzy Ukrainą i Polską na tyle się pogorszyła, że pomimo wcześniejszych zaproszeń nikt z Ukrainy nie przybył na Forum w Karpaczu, a zapowiadane na marginesie Zgromadzenia Ogólnego ONZ spotkanie Andrzeja Dudy i Wołodymyra Zełenskiego, z powodów jakoby technicznych, wynikłych ze zmiany kolejności i czasu wystąpień, nie doszło do skutku. Jakże gorzko brzmiały w tym kontekście słowa polskiego Prezydenta o „tonącym, co brzytwy się chwytą”.

Dalecy jesteśmy od przywołania innego powiedzenia o „czarnej niewdzięczności”, ale być może warto przypomnieć, że Polska i Polacy nie szczędząc wysiłków, udzielili Ukrainie wszelkiego możliwego wsparcia - humanitarnego, logistycznego, obronnego - często kosztem własnych zasobów.

Stan społecznych nastrojów dobrze oddaje aktywność internautów, którzy w postach liczonych już w setkach tysięcy przypominają, co Polska i Polacy czynią na rzecz wysiłku obronnego Ukrainy i dla tych wszystkich, którzy w naszym kraju znaleźli bezpieczny dom, zatrudnienie,

szkołę czy leczenie. W tych postach oznaczony jest także ukraiński Prezydent.

W wywiadzie dla agencji Bloombergu Andrzej Duda powiedział m.in.: „Nie możemy pozwolić na to, by ukraińskie zboże było sprzedawane na polskim rynku, bez żadnej kontroli. To przykre, że nasi ukraińscy sąsiedzi nie chcą tego zrozumieć”. W kontekście zapowiadanej skargi Ukrainy do WTO prezydent Andrzej Duda dodał, że „dobrze byłoby, żeby Ukraina pamiętała o pomocy, którą od nas otrzymuje, i że to my jesteśmy krajem tranzytowym. Także do Ukrainy”. W reakcji na niefortunna wypowiedź Wołodymyra Zełenskiego w środę 20 września Ministerstwo Spraw Zagranicznych wezwało „w trybie pilnym” ambasadora Ukrainy w Warszawie Wasyla Zwarycza, co zostało potwierdzone oficjalnie przez wiceministra Pawła Jabłońskiego. Strona polska przekazała na ręce ambasadora protest wobec „sformułowań wygłoszonych przez prezydenta Wołodymyra Zełenskiego na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Zdaniem ukraińskiego wiceministra gospodarki i handlu Tarasa Kaczki nie należy wykluczać wprowadzenia przez Ukrainę w ciągu najbliższych dni embarga na polską cebulę, pomidory, kapustę i jabłka, choć jak stwierdził polityk naszych wschodnich sąsiadów - „byłaby to ostateczność”.

Autor:
Janusz Grobicki

POLSKA

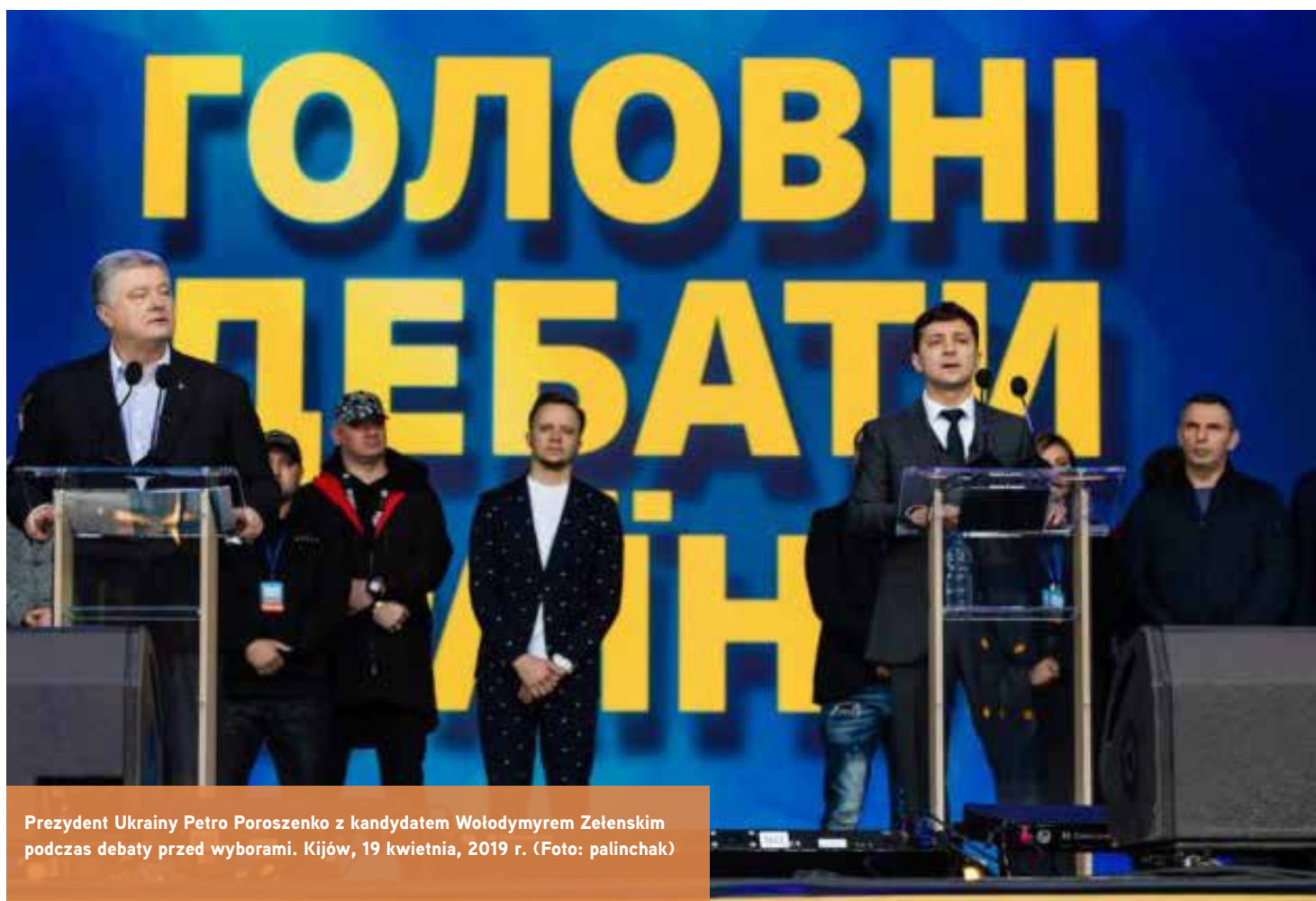
Krótki komentarz do napięć polsko-ukraińskich

BYŁY PREZYDENT POROSZENKO, PRONIEMIECKOŚĆ PREZENTOWAŁ OD BARDZO DAWNA, STĄD NIE POWINNO DZIWIĆ, ŻE CZŁONKOWIE RZĄDU UKRAINY, KTÓRZY PRZESZLI DO JEGO OBOZU „GRALI” NIEPRZYCHYLNIE POLSCE. PREZYDENT ZEŁENSKI TRAKTOWAŁ POROSZENKĘ JAKO SWEGO OSOBISTEGO WROGA. TO, CO ZAPREZENTOWAŁ W OSTATNICH DNIACH, WYGLĄDA JAKBY POŁĄCZYŁ SIŁY ZE SWYM NAJWIĘKSZYM WROGIEM. CZY JEST TAK W ISTOCIE? TRUDNO TO STWIERDZIĆ, NIEMNIEJ JEDNAK ZACZAŁ GRAĆ TAK, JAK JEGO POPRZEDNIK – NA NIEMIECKĄ MELODIĘ. A TA MELODIA JEST POLSCE WYSOCE NIEPRZYCHYLNA.

Podstawowym założeniem niemieckiej polityki w Europie jest nienaruszona niczym dominacja. Obecny rząd w Warszawie od pierwszych dni wykazywał się dużą asertywnością w stosunku do Berlina. To nie miało prawa się spodobać. Nie jest tajemnicą, że Berlin zaakceptuje w dowolnym kraju Europy Środkowej jedynie rząd, który będzie spolegliwy interesom Niemiec. Wracając do samej Ukrainy, nietrudno zauważyć, że postawa Niemiec pomogła Rosji w podjęciu decyzji o agresji. Postawa ta już podczas samej wojny wyglądała na wyczekiwanie końca Ukrainy. Dopiero presja USA, Polski i wielu innych krajów, spowodowała, że Niemcy było stać na coś więcej niż niewojskowe hełmy dla ukraińskiej armii (niebieski odcień dostarczonych hełmów, to wszak kolor pokoju). Mówiąc prosto, Niemcy stały przeciw ukraińskim egzystencjalnym interesom. Przerośnięcie świata polityki i służb rosyjską agenturą nie jest tajemnicą, a miało ono (jak wolno nam przypuszczać), również poważny wpływ na zachowanie naszego zachodniego sąsiada. W tym czasie, przyjmując 3 mln uciekinierów z ogarniętej wojną Ukrainy, Polska była na ustach całego świata. Nawet do dzisiaj, Niemcy pokątnie produkują na potrzeby rosyjskiego przemysłu zbrojeniowego (vide ujawniony przez Ukraińców przypadek sprzed kilku dni). Cóż mogło się stać, że prezydent Ukrainy dokonał gwałtownej zmiany kursu? Uderzył w najwierniejszą sobie Polskę, korzy się przed niechętnymi sobie Niemcami?

Przyczyn może być kilka, tych krótko i długoterminowych. Na początek przybliżę te długoterminowe. Celem Ukrainy jest członkostwo w UE oraz w NATO. Bez akceptacji Niemiec nie jest to możliwe. Podobnie rzecz się ma z odbudową Ukrainy z wojennych zgliszczy. Bez Niemiec, zwłaszcza gdyby Ukraina wstąpiła do UE, to zadanie byłoby bardzo trudne. Jedynie Niemcy i USA posiadają taki potencjał ekonomiczny, żeby realnie ten proces przeprowadzić. Stąd długoterminowo, Ukraina (myśląc strategicznie o tych celach) musi mieć przyjazne stosunki z Niemcami. Możemy się domyślać, że prawdopodobnie Niemcy podjęły się negocjacji z Kijowem, gdzie pojawił się „szantażyk”, w ramach którego Ukraina przystąpi do drużyny niemieckiej, albo może się pożegnać ze swymi zamierzeniami... Obok tego było zapewne też kilka „marchewek”. Jedną ujawniono - amunicja wartości 400 mln euro. Jednak czy Niemcy ją dostarczą, czy też będzie to kolejna obietnica bez pokrycia?

W tym miejscu warto dodać, że pomaganie Ukrainie, staje się coraz mniej „modne, zwłaszcza w Niemczech. Jeżeli AfD będzie



Prezydent Ukrainy Petro Poroszenko z kandydatem Wołodymyrem Zełenskim podczas debaty przed wyborami. Kijów, 19 kwietnia, 2019 r. (Foto: palinchak)

partycypowało w rządzeniu naszym sąsiadem, pomoc Ukrainie może być zablokowana całkowicie. Podobnie rzecz się ma np. ze Słowacją. Nie wiemy też, czy po wyborach w USA sytuacja się nie zmieni. Ten czynnik - chęci zdobycia, co się da - mógł mieć znaczenie przy podejmowaniu decyzji o zwrocie na Berlin. Mimo powolnych postępów na froncie i odzyskiwania terenu oraz eliminacji olbrzymich ilości sprzętu Ukraina jest w słabej sytuacji. Kończą się jej zasoby, a Ukraińcy są na „kropłowie” Zachodu.

Jak widać pół wpływu na Ukrainę, mają Niemcy wiele i nawet postawa niechętna Ukrainie, tego nie zmienia. Mówiąc krótko - Ukraina staje się zakładnikiem Niemiec i nie możemy na to nic poradzić. Co więcej, wygląda na to, że jest i będzie „używana” przeciwko Polsce.

Kluczowe w tym miejscu wydaje się postawienie pytania: czy elity Niemiec chcą, żeby Ukraina znalazła się w UE i NATO, czy też nie? Konsensus ogłoszony przez elity Niemiec, dotyczący rozszerzenia UE wskazuje, że warunkiem zgody na akcesję do UE państw bałkańskich i Ukrainy jest zgoda na przyspieszenie federalizacji, poprzez likwidację prawa weta w Radzie, przez państwa członkowskie, co sprowadza się do przekazania formalnego kierowania UE Niemcom w sojuszu z jakimś państwem, na przykład tradycyjnie z Francją. W tym miejscu koniecznym się wydaje powiązanie sytuacji z Niemcami i agresorem na Ukrainie. Obecnie koło zamachowe niemieckiej gospodarki,

czyli przemysł produkujący na eksport, przeżywa trudne chwile, z powodu wysokich cen energii i spowolnienia wzrostu u swoich odbiorców. Wskaźnik PMI (konjunktura w przemyśle) wyznacza kolejne minima, co więcej, perła w koronie niemieckiej gospodarki, czyli przemysł samochodowy, notuje stałe spadki sprzedaży. Koncern Volkswagena, który nie tak dawno chciał się bić o pozycję lidera na świecie, (żeby przetrwać) przechodzi restrukturyzację. W Zakładach w Emden zlikwidował drugą zmianę i zwalnia pracowników. Mówimy tu o zakładzie sztandarowym, gdzie są produkowane samochody elektryczne, które miały stanowić nowe oblicze koncernu. Likwidowane są marki, ograniczane modele i wersje. Nie oznacza to oczywiście bankructwa Volkswagen AG, chociaż powiązane podmioty finansowe, rzeczwiście mogą mieć kłopoty, gdyż przy spadającej sprzedaży, wysokim zadłużeniu i oparciu modelu biznesowego na leasingu i zabezpieczaniu długów poprzez rolowanie w ciężar leasingowanych aktywów, rzecz nie wygląda różowo.

Co gorsza, sytuacja jest dziełem niemieckich polityków prących ku zbliżeniu z Chinami, które zamiast dostarczać podzespoły, wolały sprzedawać w Niemczech produkty gotowe, ograniczając dostępność wspomnianych komponentów do produkcji niemieckich samochodów. Jednocześnie przyjęty kierunek zmian w energetyce, zgodny z perspektywą „Fit55”, powoduje, że cena energii

będzie nadal rosła. W tej sytuacji możemy się spodziewać, że izby przemysłowe będą wymuszać na rządzie zakupy tanich surowców, a te może dostarczyć Rosja. Niemcy w tym, jakże trudnym splocie czynników, aby gospodarstwo przetrwać, będą dążyły do jak najszybszego zakończenia wojny na Ukrainie. Musimy sobie w tej sytuacji odpowiedzieć na pytanie: czy Niemcy obiecując Ukrainie członkostwo w UE i NATO, zechcą naruszyć „tradycyjną strefę wpływów”, wprowadzając Ukrainę do obydwu bloków? Obawiam się, że porozumienie z Rosją może być bardzo kosztowne, zwłaszcza dla samej Ukrainy, a szanse na wejście do UE, a tym bardziej do NATO, można uważać za nikłe.

Podsumowując, „postawiona pod ścianą” Ukraina, najprawdopodobniej zostanie wykorzystana przez Niemcy, nie uzyskując wiele w zamian. Polska również na tym ucierpi. W dłuższej perspektywie Ukraina będzie chciała wrócić w objęcia Polski, lecz zaufanie będzie już inne, zepsute ostatnimi wydarzeniami. Niestety, w krótszej perspektywie, nie można mieć większej nadziei dla Ukrainy czy Polski, obydwa kraje zapłacą wysoką cenę ...

Autor:
Krzysztof Jaroszuk

POLSKA

Władysław Turowicz – pakistański bohater, którego próbowało zwerbować SB



Władysław Turowicz (w środku) w towarzystwie oficerów Pakistańskich Sił Lotniczych. (Źródło: gov.pl)

Władysław Turowicz zaczynał jako polski pilot, który w końcu dołączył do sił powietrznych Wielkiej Brytanii. Stamtąd trafił do Pakistanu, gdzie budował lokalne struktury lotnictwa wojskowego, a także pierwsze programy kosmiczne i raketowe. Taka postać była bardzo łakomym kąskiem dla Służby Bezpieczeństwa – zauważa pakistański dziennik „Dawn”.

W czasie II wojny światowej Władysław Turowicz zbiegł z Polski i jako pilot dołączył do Królewskich Sił Powietrznych (RAF) Wielkiej Brytanii. Po zakończeniu wojny nie chciał wrócić do ojczyzny, gdzie komunistyczne władze niezbyt przychylnie patrzyły na żołnierzy walczących dla aliantów, więc jak wielu jemu podobnych osiedlił się w Pakistanie, budując tamtejsze siły powietrzne.

Turowicz, z wykształcenia inżynier astrofizyki i aeronautyki i astrofizyki, awansował do stopnia komandora lotnictwa. Jego kariera toczyła się doskonale, obejmował kierownictwo nad programami raketowymi i kosmicznymi. W uznaniu za jego wkład w rozwój lotnictwa władze Pakistanu odznaczały go wielokrotnie, nadały mu też – wraz z rodziną – pakistańskie obywatelstwo. Jako jeden ze współtwórców Pakistańskich Sił Powietrznych oraz założycieli pakistańskiego programu kosmicznego, komandor Turowicz stał się nie tylko pakistańskim bohaterem, ale również przedmiotem zainteresowania polskiej Służby Bezpieczeństwa. Decydenci SB

zaangażowali spore środki finansowe i najlepszych agentów, by włączyć Turowicza do swoich struktur. Z upublicznionych niedawno akt wynika, że SB chciało zrekrutować Turowicza mniej więcej od 1965 r., kiedy zaangażował się w pracę dla pakistańskiej agencji kosmicznej. Kiedy rozeszła się wieść, że Pakistan planuje uruchomić własny program nuklearny, wysiłki w celu pozyskania Turowicza zintensyfikowano.

Władysław Józef Marian Turowicz urodził się w 1909 r. w syberyjskiej wsi Wadziejewsko. Pochodził z rodziny szlacheckiej, co sugeruje, że znalazła się ona w tamtym czasie na Syberii z powodu zsyłki. W 1920 r. rodzice Turowicza wraz z dziećmi wyruszyli w podróż powrotną do Polski, która odzyskała suwerenność. Podróż ta zajęła prawie dwa lata. W 1922 r. Turowicze zamieszkali w Warszawie, gdzie Józef zdał maturę i został przyjęty na Wydział Lotnictwa Politechniki Warszawskiej, który ukończył z wyróżnieniem. Gdy wybuchła II wojna światowa Turowicz był porucznikiem Wojska Polskiego. Otrzymał rozkaz wycofania się do Rumunii, został jednak zatrzymany i internowany. W drugiej połowie 1940 r. udało mu się wyjechać – przez Węgry, ówczesną Jugosławię, Szwajcarię i Francję, trafił w końcu do Anglii, gdzie zaciągnął się do Królewskich Sił Powietrznych. Był pilotem doświadczalnym oraz instruktorem.

Turowicz nigdy nie zaaklimatyzował się w Anglii i po wojnie nie chciał w niej zostawać. Problem w tym, że wielu polskich pilotów, którzy z

Wielkiej Brytanii wracało do Polski, trafiało do PRL-owskich więzień. Szansę wyjazdu z Anglii zaoferował jednak rząd Pakistanu, który spośród polskich oficerów służących w brytyjskich siłach wybrało 30, którym zaoferowano trzyletnie kontrakty z PAF – Pakistańskimi Siłami Lotniczymi. Polscy oficerowie zostali instruktorami w Akademii Sił Powietrznych Pakistanu w Risalpur. Według akt SB Turowicz szybko nabył bardzo pozytywne, wręcz przyjacielskie nastawienie wobec Pakistanu, a tamtejszemu rządowi był wdzięczny za propozycję, którą odbierał jako pomoc.

Nie mogąc wrócić do kraju, Turowicz żywo interesował się wszystkim, co miało jakiś związek z Polską. Agenci SB szybko zauważyli, że był on patriotą i nabrali przekonania, że do zwerbowania go w swoje szeregi, wystarczy tylko odpowiednia zachęta finansowa. Było to założenie o tyle zrozumiałe, że Turowicz miał problemy zdrowotne i finansowe. W 1966 r. najstarsza córka Turowicza przybyła do Warszawy, odwiedzając swoją ciotkę i babcię. SB oddelegowało przystojnego oficera, którego zadaniem było zdobycie jej względów i w ten sposób uzyskanie dostępu do jej ojca. Operacja przebiegała pomyślnie, ponieważ warszawska rodzina Turowicza uznała agenta za odpowiedni materiał na męża dla młodej dziewczyny. W tym czasie jednak inny agent SB, będący już w Pakistanie, nawiązał bliską relację z jej ojcem, więc warszawską operację przerwano.

Podjęta w Pakistanie próba zwerbowania Turowicza w strukturę SB zakończyła się jednak fiaskiem. Doszło do niej na przyjęciu wydanym przez polskiego dyplomata. Jednemu z gości udało się odbyć z Turowiczem rozmowę w cztery oczy, jednak polski pilot chwilę po niej opuścił przyjęcie. W 1970 r. Turowicz przyjechał do Polski – pierwszy raz od zakończenia wojny. Do kraju ściągnęły go względy zdrowotne – miał przejść leczenie w podwarszawskiej klinice ortopedycznej. SB umieściło w tej klinice swojego agenta, doktoranta inżynierii. Turowicz pomagał mu w przekładzie angielskich terminów technicznych. Na sam koniec pobytu doktorant podjął próbę zwerbowania Turowicza, ale i tym razem nic z tego nie wyszło.

Niedługo później, jeszcze podczas pobytu w Warszawie, Turowicz przyjął zaproszenie od zaprzyjaźnionego dyplomaty, znanego mu jeszcze z Karaczi. Rozmowa w trakcie kolacji zeszła na temat szpiegostwa, ale Turowicz przyznał, że choć spotkał w swojej karierze wielu szpiegów, to zawsze jawili mu się jako ludzie bez wartości i nigdy nie chciałby stać się jednym z nich.

Akta Turowicza kończą się więc notatką informującą o tym, że operacja jego zwerbowania została przerwana, ponieważ podejmowane próby nie przyniosły żadnego rezultatu.

Autor:
Redakcja